Nr. 37 (1185). Warszawa, dnia 30 Sierpnia (12 Września) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

MOCARSTWO ANGIELSKIE.

Podróż króla Edwarda do Wiednia na trzydniowe odwiedziny dworu austryackiego obudziła w umysłach ciekawość: co też cesarz mówić będzie z królem o najważniejszej, najbardziej piekącej dziś sprawie europejskiej — o ruchu zbrojnym Macedończyków bulgarskich i Bulgarów przeciwko Turcyi? Z ciekawością połączyło się współdziałanie obu państw, których monarchowie obecnie, od 31 sierpnia do 3 września, wymieniali między sobą ceremonialne uściski, a cesarz austryacki nawet dostąpił zaszczytu feldmarszałka armii angielskiej. Na zapytania, dotyczące dnia dzisiejszego, odpowiedzieć można tylko ogólnem, logicznem domniemaniem, że uprzejmy gospodarz nie mógł nie mówić ze swym gościem, przedstawicielem i najwyższowładcą wielkiego mocarstwa, o sprawie, która dla Austryi ma znaczenie przystawionego do niej ognistego pieca i będąc sprawą europejską wogóle, jest doskonale austryacką w poszczególnej swej doniosłości. Europejskość znowu tej sprawy, właściwie kształtująca się w kwestyę utrzymania Turcyi w interesie Europy, mogła pobudzić gościa do niczem zresztą niezobowiązującej rozmowy o groźnem położeniu na Bałkanach. Niewątpliwie skądkolwiek rozpoczęta rozmowa o obecnej zawierusze bałkańskiej musiała własną swą siłą wtargnąć w ułożony z góry ceremoniał tego, co być miało, a co być nie powinno

Osobisty wszakże charakter króla Edwarda, w daleko wyższym stopniu, niż jego konstytucyjne stanowisko, nie pozwoliły tej wymianie myśli między władcami dwu wielkich mocarstw stać się chociażby tylko zapowiedzią rokowań między ministrami, ważnych już dla rządów, nawet gdyby żadnych zgoła nie miano zaciągnąć zobowiązań. Nic to nie znaczy, że już w końcu tego miesiąca spodziewać się można nowego systematu politycznego na Bałkanach w pierwszem zasadniczem stadyum porozumienia między dwoma mocarstwami bezpośrednio interesowanemi — i to porozumienia się w kierunku tutaj określonym; że zatem dobrze byłoby w sprawie „austryackiej“ zarówno jak „europejskiej,“ więc i angielskiej zawczasu rozjaśnić swe poglądy, rozpatrzeć najogólniejsze warunki przyszłej energii, jakąby ministrowie angielscy ze stronnictwa swego i z narodu wydobyć pragnęli: król Edward zbyt długo żył jako następca tronu, zbyt mało przez to długie życie, jako syn dobry, o tronie myślał, aby w tych abstrakcyach, jakiemi są sprawy polityczne, mógł dziś w 60 roku życia wyłuszczać swe myśli. Dlatego sądzimy, że jeśli Anglia ma jeszcze dać Austryi jakieś zapewnienia lub z własnej swej przyszłej, a już tak blizkiej, polityki wskazówki przed powyższym terminem, uczynią to za nią ministrowie króla Edwarda na zwykłej, dyplomatycznej drodze. Sam król mógł im przynieść z Burgu tylko — dobrą wolę austryacką do jakiegokolwiek porozumienia się dla usunięcia przeszkód, jakieby Anglia owemu nowemu systematowi czynić chciała.

Czy jednakże ministrowie angielscy, według dzisiejszej skali wielkiej polityki narodowej, będą mieli ochotę do zawiązania z Austryą jakichkolwiek stosunków na gruncie bałkańskim? Czy w programat rządu dzisiejszego, zachowawczego, czy w programaty wszelkich innych stronnictw unionistycznych, liberalnych, półliberalnych, radykalnych — i ile ich tam jest — wchodzi jeszcze, jako dogmat, europejski a specyalnie europejsko-angielski charakter wszelkich spraw wschodnich promienie swoje po za granice Turcyi wysyłających. Czy Anglia jest już tak, jak była za Palmerstona i Redcliffe'a, jak była jeszcze za Disraelego, Drummonda i Salisburygo — przeświadczona o ścisłej zależności swego mocarstwowego stanowiska, swych korzyści politycznych i handlowych, od dalszego istnienia Turcyi na nietkniętem terytoryum dawniejszem, i to zarówno w Azyi, jak w Europie? Czy znajdzie się w Anglii mąż stanu, któryby przez Turcyę i Bałkany sięgając na północ, napotkał w swej geometryi politycznej także i Austryę i powiedział sobie, aby następnie powiedzieć narodowi swemu, że i stanowisko mocarstwowe Austryi ma prawo do pilnej uwagi, do żywego nawet zajęcia się ze strony Anglii? Od 25 lat, od traktatu Berlińskiego, który d. 13 lipca obchodził w roku bieżącym milczącą swą rocznicę, ogromnie się zmieniło, i zmienia się ustawicznie a szybko. Anglia porzuciła zupełnie politykę równowagi, to jest przeciwstawiania swych wpływów potęgom dla siebie szkodliwym. Za przykładem wszystkich działa tylko wtedy, kiedy może coś wziąć, a że ani z Austryi, ani z Turcyi europejskiej nic nigdy, przy najpomyślniejszym wietrze nic się jej dostać nie może — mało ją już obchodzi całość i los jak jednej tak drugiej.

W r. 1878, jeszcze przed kongresem, Anglia na ujęciu się za Turcyą zarobiła Cypr. Było to wszakże w zasadzie jeszcze działanie ideowo-polityczne, z idei równowagi niezbędnej w Europie wyrosłe. Ale już obojętność, jaką okazała Anglia wkrótce po kongresie dla poręczonej w układzie o Cypr nietykalności azyatyckich posiadłości Turcyi; niechęć do wywarcia rzeczywistej energii podczas ucisku, którym Turcya wraz z Kurdami wtłaczała pod ziemię biednych Armeńczyków; rabunkowa polityka w Egipcie, z krzywdą nietylko wysadzonej z *condominium* Francyi, ale i prawa zwierzchnicze posiadającej Turcyi — przyniosły żywe dowody, że istota polityki angielskiej rdzennie się zmienia. Zmiana ta ująć się da w postęp ustawicznie rosnący. Wielkomocarstwowe wystąpienie wobec Boerów w krańcowo-nacyonalistycznym — nie narodowym, interesie, wycisnęło pieczęć na całem przetworzeniu się myśli politycznej, angielskiej do r. 1899. Teraz już jeżeli w czem może być odstąpienie od zasady: „brać, gdy biorą inni,“ to tylko w zakresie nietykalności azyatyckich posiadłości Turcyi. Anglia spostrzegła, że w zatoce Perskiej nie zapanuje, jeżeli Persya samoistność swą utraci, a Turcya nie będzie zdolną obronić dolnej Mezopotamii, wskutek samego uszczuplenia swych terytoryów w Azyi. Upadek Turcyi azyatyckiej byłby zwiastunem bardzo blizkiego upadku Persyi, bo mógłby się dokonać przez bezpośrednie dotarcie do granic turecko-perskich, a ktoby stanął na granicach, ten już tylko lat niewiele potrzebowałby do rozdarcia państwa perskiego. Ostatecznie obawa o Indye, troskliwość handlowa, opieka nad kapitalizmem angielskim—mogące wystarczyć do jakiejkolwiek, ale w każdym razie ideowej, polityki wobec Turcyi azyatyckiej, nie wystarczą wobec europejskiej. Tutaj Anglia przygotowana jest na to, że inni brać będą i cała jej mądrość i dowcip sprowadzą się do tego, jakby też i ona coś dla siebie z poręczonej całości wyrwać mogła.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śpi wszędzie polityka, tylko nie na Bałkanach i nie w Austro-Węgrzech. Bulgarowie politykują ciągłym ruchem zbrojnym, podtrzymywanym z pomocą wewnętrznego terroryzmu, którego najniższym sługą jest potężny władca nowego stulecia pan dynamit. Po wysadzeniu Orient-Expressu sprowadzili wybuch i pożar na statku „Vaskapu“ (Żelazne wrota), tego samego dnia właśnie kiedy książe Ferdynand, jechał do blizkiej z Pesztu Sofii na daleki Euxinograd nad m. Czarnem. Wiadomość o podpaleniu w czterech rogach Adryanopola i napadzie na załogę, odrazu niewiarogodna, okazała się bajką, mającą podtrzymać ducha macedońsko-bulgarskiego. Na widownię wystąpiło okrucieństwo tureckie w Kruszowej, dawniej już spełnione, teraz przez p. Zinowjewa postawione przed sumieniem politycznem Turcyi. Te sumienia są wogóle niewiele warte; o tureckiem powiedzieć można, że zupełnie odrętwiało. Moralnym czynnikiem dla padyszacha jest tylko strach fizyczny.

Nie należy lekceważyć możliwości rozwiązania sprawy bałkańskiej w sposób przez *Kölnische Ztg.* i *Indépendance belge* wskazany, a tu w krótkości wyłuszczony. Prawdopodobieństwo dzisiejsze w początku październdzierka może się stać prawdą. Na zaznaczenie zasługuje artykuł *Dnewnjika* sofijskiego o układzie Bulgaryi z Rosyą, zapewniającą jej pomoc. Przypomnieć potrzeba odwiedziny gen. Ignatjewa w Sofii, treść jego przemówień i wywoływane przez nie wrażenie. Tymczasem jednak porozumienie z kwietnia 1897 r. trwa i działa — energią jak gdyby nie stylową, odbiegającą od tradycyi, widocznie wymuszoną, tymczasową. Wobec prawdopodobnego, nowego upostaciowania się władzy na rozmaitych terytoryach Bałkanii zawichrzenia węgierskie wywierają wpływ szkodliwy na stanowisko międzypaństwowe całej monarchii Austro-Węgierskiej. Stanowisko każdego mocarstwa w świecie dyplomatycznym zależy od uroku jego potęgi.

Nie opuszczając Bałkanów, zapisać trzeba w kronice tygodniowej odezwę oficerów serbskich, którzy nie mordowali, przeciwko 68 oficerom, którzy mordowali w nocy z d. 10 na 11 czerwca. Cnotliwi domagają się sądu na zbrodniarzy; ale nie mieli odwagi podpisać się odrazu na wydrukowanym w Nowym Sadzie instrumencie cnoty, i tylko na arkuszach osobnych zbierali podpisy. Rzecz prosta, że każdy rząd musiałby, tak występujących oficerów już ze względu na samą formę, uwięzić. Uczynił też to i rząd serbski; w Niszu 46 osadzono w więzieniu i wdrożono śledztwo. Czułość dzisiejszego rządu serbskiego musi być tem większą, im bliżsi mu są mordercy, jako twórcy przewrotu, który Piotrowi Karadżeordżewiczowi dał tron po Obrenowiczach. Nie byłoby też roztropnem zaniechanie badań, mogących odsłonić inne sprężyny działań prócz miłości cnoty i honoru wojskowego. Może być, że, jak przyznał prezes gabinetu Awakumowicz, nie ma w tej młodej falandze oburzonych spisku, ale podejrzenie o intrygi rozwiać zdoła tylko śledztwo. W każdym razie jest niesubordynacya, bo była groźba zbiorowego podania się do dymisyi.

Przesilenie gabinetowe, jak najściślej związane z gorączką własnego wojska, do dnia 8 b. m. srożyło się jeszcze nad Austro-Węgrami. Cesarz, wyjechawszy zaraz po uwolnieniu się od króla Edwarda d. 3 b. m. do Pesztu, nazajutrz rozmawiał z Aponyim, Hieronymim, z Lukacsem. Ostatni z nich był już gotów podjąć brzemię, ale odwiedziny w klubie liberalnym odjęły mu odwagą; d. 5 b. m. poprosił cesarza o uwolnienie od zaszczytu. Cesarz uznał słuszność pobudek i nazajutrz rozmawiał już tylko z byłym pierwszym ministrem Kolomanem Szellem, jako doradzcą, a nie jako współdziałaczem, upatrzonym na prezesa gabinetu. Co mówiono? Niewątpliwie Szell radził dać więcej, niż chce dać cesarz-król, który przystaje tylko na: 1) przeniesienie oficerów węg. do pułków węgierskich; 2 wykłady węg. niektórych przedmiotów w szkołach węgierskich; 3) chorągwie węgierskie; 4) język sądowy w wojsku węgierski;.5) stosunki władz wojskowych z cywilnemi węgierskiemi w języku węgierskim; 6) akademię wojskową węg., z przeważnemi wykładami węgierskiemi. Komendy własnej, najpożądańszej właśnie dla Węgrów, król przyznać im nie chce.

Czesi na dwu zebraniach w początku września w Pradze oświadczyli gotowość do popie-

Jan Andruszewski.

Zderko i „On.“

(Dokończenie).

Przypomniał sobie to wszystko dzisiaj, przypomniał sobie, jak wracał wtedy ze Lwowa.

Było to latem.

Minął Jaworów, Niemirów i Parypsy miał już za sobą, kiedy przez mgły poranne poczęły mu czernieć lasy ulickie.

W zbożach rzęziły i biły przepiórki, po łąkach czerkały kuropatwy, skrzeczały derkacze, płoszone chrzęstem kos.

Trawy gięły się pod rosą, schylone smutnie, kajały się, jakby biedny lud bezbronny przed widmem rzezi.

Wypłynęło cicho słońce, topiło mgły, rzucało je na kłosy żytnie, na ości jęczmion, na wiechy owsiane, na twarz Zderkową.

Rozpiął koszulę, odsłonił pierś.

Tak długo cisnął ją kaftan więzienny, nie widziała słońca, rosy...

Mgła wchodziła mu za pazuchę, owijała mu się koło serca, jakby go witać chciała od jego wsi, od łąk, od pól.

Jakaś siła niepokonana ciągnęła go do ziemi, do trawy. Rzucił się na miedzę, nabrał w ramiona żółtych dzwońców i sinych ostróżek, przegiął je ku sobie, zanurzył w nie głowę — oddychał — upajał się niemi...

Słońce podeszło, wiatr powiał od pastwisk, rozfalował morze kłosów, zwiewał z nich obłoki kwiecia.

Porwał się Zderko, wszedł na ścieżkę między żyto, zatopił się w nie, rozgarniał źdźbła rękami, dotykał się kłosia, brał je w garść, głaskał.

Zdawało mu się, że nie idzie, ale płynie, że go coś niesie.

A jego niosło do lasu.

Tam, na pagórku, w grabinie, miały jamy borsuki, a w olszynie było bagno, gdzie lubiły kąpać się dziki.

Wyszedł z żyta mokry od rosy, minął ugór, wchodzi w las, idzie prosto do jam.

Były na swojem miejscu, jakby wczoraj je odszedł.

Żółty piasek koło nich, wyrzucony świeżo, znać na nim tropy.

Kląkł na ziemi, oglądał ślady, liczył je, macał. Nałamał patyczków, i w wylocie każdej nory położył po parę na krzyż.

Jutro do dnia zobaczy, z której dziury wychodzą. Żeby nie chciał, musi przewrócić patyczki, który tylko wyjdzie.

Teraz zbiegł na dół, do olszyny.

Przez gęstwę lip przedzierało się słońce, kładło złote plamy po bagnie.

Zielone i modre ważki bujały nad niem na rudych skrzydełkach, goniły się, siadały po paprociach.

Bagnisko zryte było miejscami, jakby ktoś olbrzymim pługiem powywalał w niem skiby. Na skraju błota widać było odciski racic.

Przyglądał się im, okrążał błoto, stawał, patrzył.

— Niema go — mruknął — same warchlaki.

Gdzieżbyż „on“ się kąpał?

A może go Ilko?..

Idzie sumny lasem przed siebie, nic go nie cieszy, ani lis, który przeszedł mu drogę, taki śmieszny, wyleniony, jakby mu żydzi wyskubali skórę na czapki, ani młode zajączki, co przycupły przed nim w borówkach, czerwone, jak świeże placki żytnie.

Idzie, patrzy: dziewczę pasie krowę na sznurku.

Podchodzi bliżej — Hanunia.

Podrosła, jak świeży pęd na wiosnę, ledwo ją poznał.

I ona go poznała, puściła krowę, leci do niego.

— Didu! Didu! — i wisi mu u szyi, całuje po oczach, po ręku.

Podeszła i siwa, ryknęła na cały las, jęła go wąchać, trzeć się o niego.

Wziął dziewczę na ręce, objął siwą za kark, i tak idą we troje, a dziecko mówi i mówi:

„Jest w stajni cieliczka, jutro jej będzie trzy niedziele.

rania żądań węgierskich. Stronnicy Klofacza uznali nawet za konieczne wejście bezzwłoczne w ślady Węgrów. Na Węgrzech rozpoczyna się ruch narodowości słowiańskiej nieprzyjazny dla wojskowych żądań Madiarów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

—•—

Wybory do sejmu pruskiego. — Podstęp Komisyi kolonizacyjnej. — Głosy niemieckie przeciwko polityce antipolskiej. — „Akademia niemiecka“ w Poznaniu.— „Urania.“ — Fiasko ks. Czartoryskiego.

W połowie listopada mają się odbyć wybory do sejmu pruskiego, mianowicie dnia 9-go prawybory, wybory zaś 16. Ze względu na osławiony system trzyklasowy i na jawność wyborów stanowisko Polaków jest bardzo utrudnione. Masy ludowe, na których opiera się polskość w Prusach, przy wyborach do sejmu są bezsilne, a nadużycia i nacisk ze wszystkich stron wprost uniemożliwiają prawidłowe korzystanie z zawarowanego konstytucyą prawa wyborczego. To też widoki powodzenia Polaków są bardzo liche i niema nadziei zdobycia jakiegoś nowego mandatu w Poznańskiem czy w Prusach Zachodnich. Gorzej, bo z 10 mandatów Poznańskiego tylko 9 jest zupełnie pewnych, jeden zaś mocno zagrożony. Jest to okrąg gnieźnieńsko-witkowski, gdzie przy ostatnich wyborach kandydat polski, dyrektor Leon Grabski, miał zaledwie o 3 głosy więcej od swego przeciwnika—landrata gnieźnieńskiego Coelera. Od tego czasu położenie zmieniło się na niekorzyść Polaków, ponieważ właśnie w okręgu gnieźnieńskim Komisya kolonizacyjna bardzo rozszerzyła swe posiadłości. Możliwem, a nawet prawdopodobnem jest, że ten okrąg zostanie stracony, tak samo jak przy poprzednich wyborach wymknął się z rąk polskich okrąg mogilnicko - wągrowiecko-żniński. W tym ostatnim okręgu, który wybiera dwóch posłów, Polakom brakowało do zwycięztwa około 20 głosów.

Z okręgów poznańskich następujące można uważać za pewne: 1) Nowotomysko-grodzisko-śmigielsko-kościański, skąd posłowali dotychczas Władysław Brodnicki i Stefan Cegielski; 2) Jarocińsko-koźmińsko-krotoszyńsko-pleszewski, który wybrał ks. Jażdżewskiego i dr. A. Chłapowskiego; 3) Śremsko-średzko-wrzesiński, reprezentowany przez dr. H. Szumana, Józefa Głębockiego i ks. Stychla; 4) Ostrowsko-odolanowsko-ostrzeszowsko-kępiński, wysyłający do sejmu dr. L. Mizerskiego i Wł. Jerzykiewicza.

Przy ostatnich wyborach Polacy zwyciężyli w Poznańskiem w pięciu okręgach, wybierając 10 posłów, Niemcy zaś w 9-ciu, zdobywając 19 mandatów. Stosunek ten może się tylko pogarszać, dopóki będzie istniała dawniejsza ordynacya wyborcza, to też w interesie Polaków — nawet konserwatystów—leży rozszerzenie prawa wyborczego w duchu powszechnego głosowania tajnego. Tylko przy powszechnem głosowaniu postępy komisyi kolonizacyjnej nie zagrażają Polakom (o ile chodzi o reprezentacyę poselską) niebezpieczeństwem.

Do jakich środków i sztuczek musi się obecnie uciekać nieraz Komisya kolonizacyjna, aby zdobyć majątek polski, wymownie świadczy historya sprzedaży Sokolnik.

Właścicielka tej wioski, p. Jarochowska, zmuszona była sprzedać ją, ale pragnęła sprzedać tylko Polakowi. Zjawił się też reflektant Polak, niejaki Stefan Krause, który ani p. Jarochowskiej, ani jej adwokatowi, mającemu przeprowadzić sprawę sprzedaży Sokolnik, osobiście nie był znany. Poczęto więc zbierać informacye co do osoby Krausego. Agent — Polak, który go rekomendował, zapewnił, że jest Polakiem. Dalsze poszukiwania stwierdziły, że Krause jest zamożnym handlarzem bydła, robiącym interesa głównie z polskimi dworami i znany tym ostatnim, jako Polak; że jest w Lesznie członkiem towarzystw polskich, że przy wszelkich wyborach stale głosuje za polskimi kandydatami, że za żonę ma Polkę, że córkę wychował na pensyi polskiej i wydał za Polaka, że w końcu pewien bardzo szanowny obywatel proponował go polskiemu Bankowi ziemskiemu jako reflektanta na majątek ziemski. Krause zapewniał sam, że jest Polakiem, że majątek ziemski potrzebny mu jest do jego interesu, jako stacya dla bydła, i do założenia żyznych pastwisk. Zaproponował on pani Jarochowskiej, aby mu wieś wydzierżawiła, jeśli nie ma do niego zaufania, jako do kupującego. Żądał atoli w razie wydzierżawienia drenowania majątku, na co jednakże p. Jarochowska nie posiadała dostatecznych środków. Po dłuższych pertraktacyach p. Jarochowska zadowoliła się uroczystem zapewnieniem Krausego, że przez rok majątku nikomu nie sprzeda. Był to dowód wystarczający, że kupuje go dla siebie. Majątek bowiem, będący dotychczas w dzierżawie, a przez dzierżawcę zaniedbany, wymagał na zaprowadzenie inwentarza, reperacyę budynków i odwodnienie, przy bardzo lichych żniwach tak znacznych *natychmiastowych* nakładów (120 do 150 tys. marek), że niepodobna było przypuścić, aby je mógł robić ktoś, kto niema zamiaru sam gospodarować, ale kupuje ziemię na spekulacyę.

Kontrakt został zawarty, a wkrótce potem pokazało się, że Krause jest osobą podstawioną przez agenta Komisyi kolonizacyjnej. Sokolniki poszły na własność Komisyi — spóźnione kroki prawne ze strony adwokata p. Jarochowskiej nie pomogły. *)

Z tego widać, że nabywanie majątków polskich nie jest dla kolonizacyi rzeczą łatwą i że koszta utrzymywania całej zgrai agentów, zwłaszcza takich jak Krause — więc ludzi majętnych i niepodejrzanych, muszą być bardzo grube. Nic więc dziwnego, że fundusze Komisyi topnieją z tak nadzwyczajną szybkością, iż to poczyna samych hakatystów niepokoić. A już u nieco bezstronniej usposobionych Niemców cała polityka antipolska poczyna budzić niezadowolenie — nie z jakichś pobudek humanitarnych (jak to jest u skrajnej lewicy niemieckiej), ale wprost ze względu bezowocności tak olbrzymich wysiłków. Charakterystycznym jest pod tym względem artykuł wpływowej i wcale czule dla Polaków nieusposobionej *Frankfurter Zeitung*.

*) Szczegóły tej sprawy, przedstawionej w *Gazecie Polskiej* w innem świetle, podaliśmy w kronice w numerze poprzednim. *Red.*

Tato we dworze, robią koło stodoły, a Józko pogania; pszenicę włóczą za lasem.

Kolbuszewska była bardzo słaba, był ksiądz z Panem Bogiem, ale już teraz chodzi.

A mama poszła prać na potok.

Przyjechał wczoraj panicz...“

— A „on“? — pyta Zderko — chodzi?

— Ta chodzi tam od Smolina, wczoraj het porył Hawrakową bulbę, mówili, że to „on.“

Odetchnął Zderko, stanął, posadził dziewczynę na kępie mchu.

Zdjął z pleców węzełek, rozwiązał go, wyjął dwie chustki, żółtą w sine kropki i czerwoną, i dał Hanuni.

Przycisnęła je do siebie, drugą ręką ujęła za sznurek od krowy, i poszli do chaty.

Kseńka i Matwij radzi mu byli, bo dał im na podatek pieniądze zarobione we Lwowie.

Schował sobie i na strzelbę, ale do tego się nie przyznał.

Zeszli się sąsiedzi, kumowie, oglądali go, częstował ich gorzałką.

Urósł w ich oczach.

Za sarnę siedzieć nie hańba.

Nie zabił, nie ukradł, nie spalił.

Za myśliwstwo nawet honor...

* * *

Nazajutrz miał już strzelbę.

Kupił ją od Franka Bojarskiego.

Franka oddali do wojska, do Jarosławia, potrzebował na drogę, a strzelba na co mu teraz?

Zaczęło się znów polowanie na dzika.

Ale choć całemi nocami leżał Zderko po rowach w ziemniakach, choć się włóczył za nim całymi dniami, wszystko napróżno.

Raz nawet w szarugę taką, że psa by nie wygnał w pole, bo deszcz strugami lał z nieba, a wiatr giął drzewinę do ziemi, zeszedł go pod świerkiem na spaniu.

Nie było już i piętnastu kroków, i już go miał tak jak w komorze, kiedy strzelba zamokła od deszczu, i dzik tylko „naśmiał się“ z niego.

Dobrze jeszcze, że go nie przewrócił, tak strasznie skoczył z pod smereka.

Innym znów razem leżał w paproci, byłbyś przysiągł pień i pień!

Zderko był zmęczony, bo było gorąco, a nałaził się po lesie, więc chciał sobie spocząć.

Idzie do pniaka, aż tu nagle, jak się nie zerwie ten pień, nie sapnie, nie fuknie, i tyle go widział.

Nie było nawet czasu kurka odwieść.

Taki mu wstyd zrobił „kapitan.“

Podał się za pniak, a on mu uwierzył.

Tyle razy chodził tamtędy i wiedział przecież, że tam niema pniaka, więc skądby się wziął naraz?

Nic, tylko go „urzekło“ „omamiło“ i „błąd go się czepił.“

Długo jeszcze potem wstydził się Zderko, ile razy sobie to spotkanie przypomniał.

Zwierz był „mądrzejszy od ludzi.“

Pastuchów się nie bał, pomiędzy krowy chodził w biały dzień, a na strzał zejść się nie dał.

Wykraść się z miotu, pójść na chłopców, wyczekać, aż zaśnie stróż w polu i poryć mu pod głową ziemniaki—były to jego figle codzienne, a choć i strzelił kto czasem do niego, to czy go się kule nie czepiały, czy był „niesamowity,“ dość że mu nic nie można było zrobić.

Zderko też twierdził, że przez niego Kseńka umarła, bo kiedy była chora i poszedł do lasu zarobić na doktora i lekarstwo, to „on“ go wodził po lesie całą noc, tak że nic nie wskórał, a gdy wrócił nad ranem do domu, Kseńka była już nieboszczka.

Cały żal za nią, za Lwów, przelał na dzika, i tak się zawziął na niego, że mówił: „Albo jego śmierć, albo moja“....

. . . .

Od tego czasu minęły lata, a Zderko i wszyscy we wsi byli prawie pewni, że „on, to nie dzik.“

„Niesamowity“ mówili jedni, drudzy wspominali o nim nawet niechętnie, ze strachem...

. . . .

Czy żyje „on“ jeszcze? Dumał właśnie starzec...

* * *

Tymczasem jak długi i szeroki trząsł się bór od rzechotu żab i chrapania słomek.

Frankfurter Zeitung nawiązuje rzecz do pogłosek, tułających się po pismach niemieckich, jakoby rząd i podczas przyszłej kadencyi sejmowej nie miał zboczyć z raz obranej drogi w polityce polskiej i chciał wnieść projekt nowej ordynacyi powiatowej, na mocy której ma dzierżawcom domen Komisyi kolonizacyjnej przysługiwać prawo zasiadania i głosowania w wydziałach powiatowych. Przypuszczając, że wiadomość ta jest prawdziwa, pismo frankfurckie twierdzi, że drogi, któremi dziś się polityka polska toczy, przynoszą szkodę nietylko wszystkim płacącym podatki, ale nawet niemczyźnie. Rząd niema pieniędzy na najpotrzebniejsze reformy na polu sądownictwa i szkolnictwa, nawet na polu komunikacyi zaprowadza oszczędności; na kosztowne jednak — bezowocne eksperymenty polityki polskiej rzuca setki milionów bez namysłu. *Frankf. Ztg.* twierdzi, iż umie ocenić znaczenie kwestyi kresów wschodnich, ale powiada, że kto dotychczas nie pouczył się jeszcze, jak fałszywe są drogi, któremi rząd idzie, ten chyba już nigdy pouczyć się nie da. Sam rząd przyznać musiał, że działalność Komisyi kolonizacyj zrobiła fiasco, nie dla braku środków, ale wskutek odporności Polaków. Wszakże pokazało się, że wszystkie rozporządzenia, skierowane ku osłabieniu polskości, nietylko do niczego nie doprowadziły, ale przeciwnie i politycznie i materyalnie wzmogły polskość wśród tego ucisku.

Pomimo tego — mówi gazeta frankfurcka — nie odstąpiono od tej nieudatnej polityki, ale postanowiono brnąć dalej na tej drodze; uchwalono nowe fundusze i środki, które w sprawie polskiej niczego nie są w stanie zmienić, chyba jedynie wychować kastę hypokrytów. Do takich środków należą dodatki do pensyi za lojalne zachowanie się i nowouplanowany system domen z zakupna Komisyi kolonizacyjne, aby na zależną ludność robotniczą nacisk polityczny wywierać. W tem wszystkiem ani śladu polityki o szerokim widnokręgu, wszystko to środki i środeczki, które mają zatrzeć powierzchownie ciężkie, poniesione klęski. Wobec Polaków nie doprowadzi do celu polityka, która opierać się będzie jedynie na podniesieniu sztucznem liczebności Niemców przez działalność Komisyi kolonizacyjnej. Wykazała to jasno najnowsza statystyka. Na tem polu przewaga jest niewątpliwie po stronie Polaków. Liczba ich wzrosła nietylko absolutnie, ale i względnie, a każdy, kto śledził ten rozwój z uwagą, mógł był już przed wyborami, przepowiedzieć, że Polacy nietylko nie utracą ani jednego mandatu, ale przeciwnie, zdobędą jeszcze nowe. Wszystkie kompromisy partyjne w Poznańskiem okazały się bezsilnemi wobec znacznej, polskiej większości w powiatach, gdzie szała ważyć się mogła, a gdzie niemczyzna w ostatnich czasach nawet liczebnie zmalała. Przyznaje to nawet *Ostmark* — organ *Ostmarkenvereinu*. Pismo to skarży się, że w okręgu wyrzysko-szubińskim, mimo że tam Komisya kolonizacyjna osadziła 2,487 Niemców, ludność niemiecka w ostatniem 10-leciu podniosła się tylko o 1,677 głów, podczas gdy przyrost ludności polskiej wynosi 7,099. W okręgu wyborczym szamotulsko-międzychodzkim ludność niemiecka zmniejszyła się nawet o 4592 głowy, podczas gdy Polaków wykazano o 10,823 więcej w obydwóch tych powiatach, dawniej przeważnie niemieckich, dzisiaj jest już większość polska.

Cóż więc wynika z tej statystyki? — pyta *Frankfurter Zeitung*. Oto to, że „polityka polska,“ która pracuje za pomocą praw wyjątkowych wobec Polaków, utrudnia im pielęgnowanie języka i literatury, a w wyższych szkołach nawet zupełnie uniemożliwia, owa polityka nie polskości, ale Niemcom szkodę przyniosła. Rozbrat pomiędzy obu narodowościami pogłębił się przez nią niesłychanie, a środki obmyślone ku zgubie polskości, wywołały jedynie skupienie się Polaków w ściśle grono i usunięcie się od Niemców nawet tam, gdzie dotąd zobopólne, dla obu stron korzystne panowały stosunki. Te antipolskie środki wytworzyły polski stan średni, wobec którego kupiec niemiecki utrzymać się nie może i to tembardziej, że i w rządzie samym znajduje nieprzyjaciela, który przez zakładanie t. zw. domów handlowych i tym podobnych instytucyj ku podniesieniu niemczyzny odbiera dochody niemieckiemu kupcowi. Ta „polska polityka“ wywołała formalną ucieczkę Niemców. Aby złe naprawić, rząd musi wejść na zupełnie inną drogę, w żadnym jednakże razie na drogę dalszych prześladowań i większego ucisku, jak sobie tego życzą hakatyści. Musi nastąpić naprawa stosunków z Polakami przez uwzględnianie słusznych ich żądań i przez najzupełniejsze równouprawnienie, a zatem zniesienie i zaniechanie dalszego kucia wszelkich praw, któreby mogły mieć wobec Polaków charakter praw wyjątkowych.

Podobne jeremiady wygłasza *Berliner Ztg.*, omawiając politykę rządu pruskiego wobec Polaków i zwracając się przeciwko hr. Bülowowi i jego systemowi. Pełnemi garściami pieniędzy — pisze — obsypywano kresy wschodnie. Wiemy, ile nas kosztowała polityka antipolska, ale nie wiemy, co przyniosła. Albo raczej wiemy to... Pół miliarda funduszu kolonizacyjnego można było zużyć bardzo dobrze na wewnętrzne pruskie cele kulturalne. Cóż zdziałał on w Poznańskiem. Od polskich właścicieli ziemskich odkupiono dobra za wysoką cenę, a oni potem, za łatwo zarobione pieniądze, zakupili lepsze dla siebie. Przez dręczenie Polaków zaostrzono przeciwieństwa narodowościowe. Polacy, którzy przedtem znajdowali się w stosunkach z niemieckimi kupcami i przemysłowcami, usiłowali wobec zwróconej przeciw sobie nienawiści i jadu uwolnić się od konieczności kupowania u Niemców i zamawiania robót u Niemców. Stworzyli sobie przemysłowy stan średni, którego im brakło, a który reprezentowali sami Niemcy, poszkodowanymi zaś zostali średni i drobni obywale niemieccy. Cóż tedy robią Niemcy?—zapytuje *Berl. Ztg.* i, odpowiadając na to pytanie, stwierdza, że albo emigrują z kresów wschodnich, albo się polonizują. W końcu *Berl. Ztg.* zwraca się przeciw hakatystom, którzy mimo niepowodzenia dotychczasowej polityki pruskiej wobec Polaków nie wahają się żądać nowych ustaw wyjątkowych. W polityce wobec Polaków — kończy *Berl. Ztg.* — wpadliśmy w matnię, należałoby spróbować pojednać Polaków z losem za pomocą rozsądnej polityki, a nie zaniedbać niczego, co służy do ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kresów wschodnich. Obecna polityka względem Polaków zgotuje państwu pruskiemu ciężkie szkody.

W tym samym duchu odzywa się poseł von Gerlach w *Die Zeit*, a artykuł jego przedrukowywa *Posener Zeitung*, doda-

---

Czasem trudno było odróżnić jedno od drugiego, taki gwar się robił.

Hej Boże słomki...

Bywało dawniej...

I teraz jeszcze coś go aż w dołku łaskocze, gdy słyszy ten chrapot, ale niech już tam na inne ręce idą, on im nic złego nie zrobi...

A jak to się rozmnożyło szelmostwo...

. . . .

Z długimi dzioby, ze skrzydły zwisłemi, podobne z lotu do ogromnych nietoperzy, ciągnęły po jednej, po dwie, po kilka naraz.

Leci para, on za nią, ona gwiżdże, on chrapie.

Nadleciał drugi samiec, dogonił ich, dziobnął tamtego. Teraz wszystko troje jęło gwizdać, ścigać się, przewracać w powietrzu, czasem nad samą głową starcowi, jakby go się wcale nie bały...

Zderko patrzał w górę.

Po konarze starej sosny, o korze czerwonej, oświetlonej skłonem zorzy, jak żagiew z ognia migała wiewiórka, spłoszona przez kunę, przylepiona tak do pnia, że trudno ją było od niego odróżnić!

Naraz kuna odkleiła się od drzewa i jak szczupak w płotkę cisnęła sobą w wiewiórkę.

Widać było, jak błysnęła w skoku białym brzuchem, jak wiewiórka zwisła po niej, niby wiecheć z suchego szczawiu i ziela świętojańskiego.

Przez chwilę słychać było w górze pisk i cmoktanie, parskanie i miauk, jak kiedy koty na dachu zczepią się z sobą.

Starcowi się zdawało, że to panicz z Kroniczy porywa Hanunię, bo i kamizelka u niego taka jasna, właśnie jak spód u kuny, a Hanunia w ruchach i zgięciu miała coś z wiewiórki.

Poczekaj, drabie...

Ale nim zdołał podnieść strzelbę, grzmot rozległ się po lesie, i strzał załamał się echem po drzewach.

Ptactwo zmilkło na chwilę, a kłąb miedziano-płowy z wiewiórki i kuny rozwinął się i każde spadło w krzaki osobno.

Myślał zrazu Zderko, że mu strzelba wypaliła; oglądnął ją, palce włożył w lufy... Były suche... Nie, to nie on wystrzelił, to ktoś inny, i to tuż gdzieś niedaleko...

Stała się cisza, tylko zorza krwawiła korony sosnowe.

Wtem, jakby się coś darło przez gąszcze, jakby łamało gałęzie, i znowu cisza.

Znów niby się dźwignęło, niby stęknęło w gęstwinie.

Poderwał się Zderko z pniaka, chciał zobaczyć, co to takiego, więc darł się przez krzaki ku miejscu, gdzie się ruszało.

Gdy się tam dowlókł, ujrzał coś, od czego jakby wrósł do ziemi.

Dech staremu zaparło, i reszta krwi mu zbiegła do serca.

Zrazu zrobił ruch, jakby się chciał przeżegnać — potem opuścił rękę na strzelbę i patrzał przed siebie, jak stary orzeł, kiedy ujrzy kozy.

O dziesięć kroków od niego, na suchym pagórku, zasłanym liściem grabowym, leżał, z kłami wbitymi w drzewo, które przegiął aż do ziemi, olbrzymi odyniec, aż siwy ze starości.

Już się zmierzchało, i ledwo go można było odróżnić od liści, ale Zderko poznał go odrazu.

„To on,“ mruczał, trzęsąc się cały, „on sam“...

. . . .

Czyżby Pan Bóg wreszcie wysłuchał modlitwy Zderkowej, żeby „on“ przyszedł na jego ręce?...

. . . .

Żywy? Czy nie żywy? Przeszło mu przez mózg.

To chyba nieżywy, bo pocóżby trzymał w pysku tego dębczaka i tak go zgiął do „świętej ziemi“?

A może się tylko przyczaił, jak wtenczas?

Ale teraz już go nie zwiedzie...

Szedł ku niemu ze strzelbą w rękach, kurki oba odwiódł — nie wierzył mu...

. . . .

Chłód wstawał z moczarów, próchna świeciły już w borze, i miesiąc podszedł wysoko...

Żaby grały hymn żałosny i tęskny, jak dola chłopska, jak ugory o miesiącu.

Zderko prawie pewny był teraz, że dzik nie żyje, widział wyraźnie do księżyca jego łeb olbrzymi, zwieszony bezładnie:

jąc od siebie uwagi, w których przemawia za zaniechaniem dzisiejszego „kursu polskiego.“ Nie należy naturalnie przywiązywać jakiegoś poważniejszego znaczenia do tych głosów odosobnionych i bardzo nielicznych, w każdym jednak razie widać, że i wśród burżuazyi niemieckiej mnożą się żywioły, którym polityka urzędowa względem Polaków przestaje imponować.

Przeniknięty zamiarami brutalnej germanizacyi, rząd nie zaniedbuje i środków t. zw. „kulturalnych.“ Oto, dn. 15 października ma być otwarta w poznaniu „Akademia niemiecka,“ po której istnieniu hakatyści obiecują sobie z niezrozumiałych dla nas powodów wielkich tryumfów germanizacyjnych. Rektorem akademii ma być prof. dr. Kühnemann z Bonn. Ma on wykładać literaturę wspólnie z prof. Schweringiem. Katedrę nauk państwowych obejmuje prof. Wiedefeld z Berlina, handlowych — prof. Harnisch z Lipska. Historyę mają wykładać dr. Prümers i dr. Warschauer z Poznania. Lektorami języka francuskiego i angielskiego mianowani zostali p. Bastié z Królewca i prof. Tibelius. Jaką korzyść z tej „akademii“ będą mieli germanizatorowie, trudno dociec. Wszakże setki młodzieży polskiej, zmuszone do studyowania na uniwersytetach, politechnikach i innych wyższych zakładach naukowych Niemiec, nie germanizują się. Tem mniej może ich zgermanizować jakaś „akademia“ znajdująca się na miejscu. Zresztą liczba Polaków, którzy będą chcieli słuchać wykładów, wielką nie będzie. Z drugiej znowu strony trudno przypuszczać, aby właśnie „akademia“ natchnęła uczęszczającą do niej młodzież niemiecka specyalną wytrwałością w walce z Polakami.

Kosztowną tę zabawkę wcześniej czy później przyjdzie przekształcić w prawdziwy uniwersytet, który znowuż przyniesie większą korzyść Polakom, aniżeli Niemcom, jakkolwiek językiem wykładowym będzie niemiecki. Skupi on młodzież polską dziś rozproszoną po Niemczech i wytworzy pewien ośrodek kulturalny dla społeczeństwa poznańskiego. Rozumieją to dobrze germanizatorowie, dlatego zamiast uniwersytetu wolą na razie obdarzyć Poznań dziwolężną „akademią.“

Od 1 października w Poznaniu pocznie funkcyonować stacya popularno-astronomiczna, na wzór berlińskiej „Uranii.“ Celem zakładu będzie pouczanie szerszej publiczności za pomocą (niemieckich) wykładów z dziedziny astronomii. Później ma stanąć tutaj także obserwatoryum i stacya meteorologiczna. Kierownictwo zakładu obejmuje dr. Spiess, który przyjeżdża do Poznania z Berlina. Hakatyści święcie wierzą, że wykłady astronomiczne przyczynią się do zgermanizowania poznańczyków.

Dn. 23 sierpnia odbył się w Opalenicy nader liczny wiec, zwołany na żądanie wyborców z okręgu grodziskiego, dotkniętych do żywego uczynionym im przez ks. Zdzisława Czartoryskiego zarzutem przekupstwa przy tegorocznych wyborach do parlamentu. Butny magnat, skwaszony tem, że jego koledzy z frakcyi dworskiej nie zostali wybrani na kandydatów i że on sam musiał się zrzec kandydowania, rzucił gołosłowne oszczerstwo na ludowców powiatu grodziskiego. To oszczerstwo spowodowało prokuratoryę pruską do wszczęcia śledztwa, które jednak zostało przerwane, gdyż żadnych dowodów istnienia przekupstwa nie było. Na wiecu w Opalenicy stwierdzono, że książe popełnił oszczerstwo, a „Prowincyonalny komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie“ musiał złożyć oświadczenie, potwierdzające, że ani prezesowie komitetowi powiatów, ani książe Zdzisław Czartoryski nie dostarczyli mu żadnego materyału.

W ten sposób akcya jednego z głównych filarów polityki dworskiej zakończyła się zupełnem fiaskiem.

Pośrednik.

O hakacie galicyjskiej.

Lwów, 8 września.

A więc mogę pisać dla was, jeśli tylko nie jestem Rusinem-hakatystą, któraby to przywara czyniłaby mię dla was niemożliwym...

Te wasze słowa są właśnie powodem, że za temat niniejszego artykułu obrałem sobie ten wykwit państwowej kultury niemieckiej, który niestety w najnowszych czasach rozwija się pomyślnie na naszym gruncie, czyniąc niemożliwym wszelki prawdziwy postęp i pozwalając rozwielmożniać się jak najdzikszym instynktom.

O zeszłorocznych bezrobociach w Galicyi Wschodniej już wiecie. Wprawdzie moc ludu przesiedziała darmo w areszcie śledczym, wprawdzie *786 ludzi zasądzono na 93 lat i 8 miesięcy więzienia* *), lecz nic to wobec materyalnych i moralnych korzyści, jakie odniosła robocza masa wiejska wskutek bezrobocia. To też nie bez słuszności ogarnęła „obszarników“ galicyjskich obawa, że wypadki takie mogą się powtórzyć w przyszłości z większą jeszcze siłą. Trzeba było koniecznie coś radzić, i uradzono... narodowo-religijny pochód na Ruś.

Ludność ruska w Galicyi Wschodniej należy, jak wiadomo, do obrządku grecko-katolickiego, lecz spotykamy tu też całe osady, trzymające się wyznania rzymsko-katolickiego. Są to albo włościanie narodowości ruskiej, którzy ongi z jakichkolwiek przyczyn zmienili swe wyznanie, albo potomkowie kolonistów polskich, którzy z biegiem wieków zlali się zupełnie z otaczającą ich ludnością ruską, zachowując tylko dawną wiarę ojców, albo wreszcie polscy włościanie, którzy już w naszych czasach osiedlili się na Rusi. Tylko ten ostatni typ jest co do narodowości polskim, dwa zaś pierwsze są stanowczo ruskie, z polskości zaś pozostały im tylko modlitwy, które odmawiają łamaną polszczyzną.

Galicya, jak wiadomo, jest krajem, gdzie ster rządu dzierży szlachta polska, tj. ta część społeczeństwa polskiego, która dotychczas nie wyrzekła się jeszcze swych „praw historycznych“ do Rusi i nie może sobie nawet przedstawić Polski inaczej, jak tylko władającą ziemiami ruskiemi. Rzecz naturalna, że szlacheckie rządy w Galicyi musiały odpowiadać powyższej zasadzie. Wszakże u nas nie wymarły jeszcze typy Polaków, dla których sam fakt istnienia ruskich szkół, ruskiej inteligencyi, ruskiej literatury jest zbrodnią, według których po rusku może mówić tylko chłop nieoświecony, wszystko zaś, co oświeceńsze, powinno być *gente Ruthenus*,

*) Mychajło Łozynskyj: „Der Bauernstreik in Ostgalizien“ (w miesięczniku wiedeńskim *Deutsche Worte*, zeszyt 2-gi, za luty 1903).

Myślał o tem, że ciężką musiał mieć śmierć, kiedy aż dębczak przegiął z bólu, i tak został z drzewem w kłach.

Chór żab łkał coraz żałośniej, niby się skarżył, litował nad czemś.

Z kałuż, bagien, sitowisk, z pokrytych rzęsą błot szło coś, jak jęk niedoli, niby płacz serdeczny za czemś drogiem, co gdzieś się podziało i nie wróci już nigdy.

Szło po gałęziach brzóz, zwieszonych ku ziemi, po grabach i olchach, po rosie i woni nocnej, szło w pierś Zderkową.

A on przypomniał sobie w tej chwili, jak go ksiądz pytał na ostatniej spowiedzi, czy wszystkim przebaczył, czy nie ma złości do kogo, gdyż „tylko temu, kto wszystko odpuści, będzie odpuszczono.“

Wtenczas to odpuścił „jemu,“ darował mu Lwów, i Ksenię, i strzelbę, którą mu przez niego zabrali.

Przywidziało mu się, że klęczy w cerkwi przed księdzem. Słyszał, jak chór zawodzi: „Pomyłuj, Hospody — Pomyłuj!..“

Po rosie słychać było dzwony z Sieniawki.

Wiało z nich jakąś skargą nieutuloną, jakiśm bolesnym pędem w dal, jak gdyby biegły gdzieś w przestwór ciemny, jakby dogonić chciały przeznaczenie i chłopskim zwyczajem podjąć je pod nogi, i jakby czuły, że to się na nic nie przyda.

Pomyłuj Hospody — pomyłuj! Dźwięczały mgły, woniała noc, modliły się drzewa.

„Pomyłuj Hospody nam wsim“ — szeptał starzec.

Dziwnie zrobiło mu się w sercu.

Coś w niem tajało, jak w kwietniu śnieg od słońca — jakaś rzewność wzbierała mu w pierwsi, jakby rzeki na wiosnę.

Szedł już do dzika bez żalu, bez radości z jego śmierci, jak do druha starego, który poległ w boju.

„Ot, na co ci przyszło nieboże — mówił, osuwając się przy nim na ziemię, „ot, na co.“

„Oj, nie będziesz ty już chodził po ziemi -mamuni, nie będziesz.

A jakie to kły u niego, jak szabla ułańska, nie darmom ja cię zrobił kapitanem, nie darmo.

Nachylił się, i gładził odyńca po sierści.

„To Ilko“ szeptał, Ilko cię sprawił...

Trzebaż ci było chodzić na owies Wasyla, taż Wasyl teść Ilkowi, a Ilko twój wróg największy...

Ręce mu wilgły w ciepłej krwi, w boku dzika pod łopatką namacał dziurę od kuli.

Wtem....

Jak kiedy proch podłożą pod skałą, i szmat łomu wyleci w powietrze, tak odsadziło Zderka od ziemi.

Martwy na pozór odyniec opamiętał się nagle, wypuścił drzewo z pyska, zanimby można powstać z ziemi lub uskoczyć, nadział starca na kły, i wyrzucił po nad siebie.

Był to jego ostatni wysiłek.

Runął napowrót na ziemię, a na niego padł Zderko, jak suchy dąb omszony, gdy pada na wzgórze zasłane igliwiem.

* * *

Leżał w miesiącu z piersią rozdartą, ramiona rozwarł szeroko, jakby chciał niemi coś objąć.

Czy żegnał bór, czy cisnął do piersi Hanunię?

A może ujrzał duszę Parani w świetle miesięcznem?...

Od strony zrębu, gdzie las był rzadszy, wysunęło się coś czarnego, jakby człowiek szedł z psem, i jakaś postac ludzka pochyliła się nad Zderkiem.

Hospody! jęknął, to ty Ilko... Tak było sądzane...

Ty jego, a on mnie...

Krew bryznęła mu z piersi, z ust...

* * *

Wstał wiatr gdzieś z głębin kniei, zagwizdał, zajęczał w koronach sosnowych.

Szedł zrębem — cmentarzem, niby płacz żałobny za czemś, co gdzieś się podziało, i nigdy, nigdy już nie powróci...

. . . .

natione Polonus. We Lwowie żyje jeszcze taki typ Polaka ruskiego pochodzenia, p. Plato Kostecki, jeden z najstarszych i najbardziej szowinistycznych dziennikarzy polskich, autor powszechnie znanego czterowiersza:

Wo imia Otcia i Syna,
To nasza mołytwa,
Jako Trojcia, tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa...

Nie mogąc atoli przeszkodzić kulturalnemu rozwojowi Rusinów galicyjskich, szlachta polska musiała wyrzec się myśli, że cała oświecona ich warstwa przejdzie do jej szeregów, i ograniczyła się na obronie swego stanu posiadania w Galicyi, atakowanego z jednej strony przez Rusinów, z drugiej zaś przez postępowe żywioły polskie.

Tak było w Galicyi aż do czasów najnowszych, kiedy na widownię życia publicznego wystąpiło u nas stronnictwo narodowo-demokratyczne, czyli wszechpolskie.

Przeszłoroczne bezrobocia rolne zaostrzyły niesłychanie stosunki polsko-ruskie w Galicyi. Fakt, że w tych wypadkach brali też udział włościanie obrządku rzymsko-katolickiego, a więc wedle pojęć średniego „Galicyanina“ — Polacy, nazwano w prasie szlacheckiej i wszechpolskiej — czwartym rozbiorem Polski, rozbiorem tem boleśniejszym, że dokonanym przez własne dzieci. Proszę tylko uważać, jaka cudowna alegorya: Polska — to szlachta galicyjska, a włościanie rzymsko-katolickiego obrządku, którzy bezrobociem nadszarpnęli trochę kieszeń szlachcica, utrudniając mu przez to wyjazd na zabawę za granicę, to te dzieci niegodne, co Matkę-Polskę rabują...

Wzięto się więc do roboty, by na przyszłość nie dopuścić do bezrobocia, tj. do piątego, szóstego itd. „rozbioru Polski.“ Oczywiście, że musiano w tym celu rzucić kość niezgody między chłopów, co też zrobiono w następujący sposób:

1) Włościanom rzymsko-katolickiego obrządku głosi się bezustannie, że jako Polacy powinni słuchać dziedzica, księdza i p. starosty, nie występować zaś razem z ruskiem włościaństwem przeciw dworowi lub rządowi.

2) Włościan ruskich obrządku grecko-katolickiego przekonywa się o wyższości obrządku rzymsko-katolickiego nad grecko-katolickim i przeciąga się ich, gdzie tylko można, na obrządek rzymsko-katolicki. Następnie zaś, według galicyjskiej zasady, że każdy wyznawca kościoła rzymsko-katolickiego jest *eo ipso* Polakiem, postępuje się z nimi, jak to zaznaczono pod 1).

3) Szlachta polska, mająca na swoje rozkazy rząd galicyjski, stara się wszelkimi sposobami zmusić włościan ruskich do emigracyi, by na ich miejsce sprowadzić włościan polskich z Galicyi Zachodniej, Ks. Poznańskiego, a nawet z Ameryki, którym znowu wbija się do głowy „zasadę,“ że między wrogo nastrojonym żywiołem ruskim jedynymi ich przyjaciółmi jest dwór, ksiądz i p. starosta.

W ten sposób myśli szlachta polska zasiać ruską część Galicyi oazami polskiemi, nieprzyjaźnie usposobionemi względem ruskiej ludności miejscowej, a Galicyę Wschodnią, uważaną od wieków za kraj ruski, przemienić na dzielnicę polską ze znikającą ruską mniejszością. Dodajmy, że w ręku szlachty spoczywają rządy Galicyi, że na jej zawołanie są wszystkie instytucye państwowe i autonomiczne, a zrozumiemy, iż w tej nierównej walce musiała powstać u Rusinów pewna niechęć ku Polakom wogóle, pewne rozgoryczenie, tem bardziej, że w Galicyi faktycznie całe społeczeństwo polskie, z wyjątkiem chyba socyalnych demokratów, dało się porwać temu antiruskiemu prądowi.

Co szlachta polska przeprowadza praktycznie, to wszechpolacy ubierają w formy teoretyczne. By nie być gołosłownym, zacytuję parę ustępów z *Tygodnika Polskiego*, najnowszego pisma wszechpolskiego, którego zeszyt pierwszy ukazał się 18 lipca r. b.

Wiadomo, że najważniejszem zadaniem polityki wszechpolskiej jest wyodrębnienie Galicyi, bynajmniej nie dla korzyści ludu pracującego, lecz jedynie dlatego, żeby rząd szlachecki mógł jeszcze więcej tępić Rusinów. Co prawda, dostałoby się w tej Galicyi wyodrębnionej i ludowi polskiemu, lecz mniejsza o to... Niech dyabli biorą lud polski, byleby tylko wytępić Rusinów, byleby tylko całą Galicyę można nazwać dzielnicą polską!.. Że właśnie do tego dążą wszechpolacy, do budowania Polski w Galicyi Wschodniej za wszelką cenę, o tem świadczy poniższy ustęp, wyjęty z programowego artykułu w pierwszym zeszycie *Tygodnika Polskiego* (str. 6):

„Żywioły społeczne młode, silne, pełne wiary w siebie i w przyszłość narodu, *chcą budować Polskę od podstaw, budować ją w instytucyach samopomocy obywatelskiej, w gminie, w powiecie, w kraju, a dla wznoszonych zrębów organizacyi wewnętrznej zyskiwać sankcyę prawno-państwową*.“

Występując zaś przeciw żądaniu bezpośredniego i równego prawa wyborczego, podnoszonemu w chwili obecnej przez wszystkie demokratyczne i postępowe żywioły w Austryi, dziwnego nabożeństwa „demokrata wszechpolski,“ p. Władysław Studnicki, pisze:

„Powszechne i równe prawo wyborcze, wprowadzone do sejmu pruskiego, byłoby dla nas pożądanem, gdyż żywioł polski na Śląsku pruskim i w Prusiech Zachodnich jest mniej zamożny od niemieckiego i źle wychodzi na trzyklasowym systemie wyborczym do sejmu pruskiego.

Atoli w Galicyi mamy całkiem inne stosunki. Tu powszechne i równe prawo wyborcze osłabiłoby nas wobec Rusinów, którzy, posiadając większość w 44 okręgach Galicyi, przy powszechnem a równem prawie wyborczem zaszachowaliby samorząd kraju i zniweczyli nadzieje rozszerzenia jego“ *).

A więc czego żądamy dla dobra Polaków w Prusach, tego musimy odmówić Rusinom, mającym szczęście znajdowania się pod rządami szlachty polskiej. „Dobrze jest, gdy ja uwiodę cudzą żonę, lecz źle, gdy mi ktoś uwiedzie moją...“

Lecz Rusini, to taki żywioł, z którym się wcale liczyć nie potrzeba, gdyż to według p. Studnickiego **) nawet nie naród, jeno „ludzie, co mieszkając na wspólnem z nami terytoryum, nie chcą przyjąć naszych dążności historycznych, naszej kultury.“

Naturalnie, że ludzi tych trzeba zmusić do porzucenia ich własnych dążności i ich własnej kultury, a przyjęcia „naszych dążności historycznych i naszej kultury,“ zmusić, nie przebierając w środkach, gdyż — jak woła w jednym ze swych artykułów p. Studnicki — Węgrzy nie robili żadnych ustępstw i nie mają teraz kwestyi rusińskiej, gdyż — jak się wyraził na jednem zgromadzeniu młodzieży polskiej w Zurychu jeden z najmłodszych adeptów antirusińskiej polityki wszechpolskiej — „Ruś Czerwoną (dzisiejszą Galicyę Wschodnią) przyniosła nam królowa Jadwiga jako wiano, a więc jest ona bezsporną naszą własnością...“

Tak się przedstawiają w ogólnym zarysie stosunki polsko-rusińskie w Galicyi ze strony polskiej.

A strona rusińska?

Oczywiście, że strona rusińska musi prowadzić walkę odporną, prowadzić ją z wytężeniem wszystkich sił, gdyż przeciwnik rozporządza wszelkimi możliwymi środkami, ma na swoje zawołanie liczną reprezentacyę parlamentarną w Wiedniu, cały sejm galicyjski, władze administracyjne, wojsko, żandarmeryę, policyę... Przeciw tej ogromnej sile mogą postawić Rusini tylko siłę swego ludu, wycieńczonego nędzą ekonomiczną, trzymanego przez rząd szlachecki w ciemnocie, pozbawionego praw politycznych, odpowiedniej reprezentacyi w sejmie i w Radzie państwa.

Exempla trahunt — mówi przysłowie. I u nas tu i owdzie pojawiają się początki hakatyzmu, powstają wydawnictwa, pisujące na modłę *Słowa Polskiego*, i spółki, tytułujące Polaków „Lachami“ i bawiące się w inne dziecińsiwa tego rodzaju... Lecz są to kwiaty posiewu wszechpolskiego, które znikną w chwili, gdy im prasa polska przestanie dostarczać tematów, które więcej są szkodliwe dla nas samych (gdyż grając w trąbkę wszechsolidarności narodowej, zaciemniają z korzyścią dla żywiołów reakcyjnych pojęcia o walce klas, o partyach itp.), niż dla narodowości polskiej.

W każdym razie o hakatyzmie ze strony Rusinów dotychczas nie może być mowy na seryo, chyba że hakatyzmem byłoby bronienie ludu własnego przed wyzyskiem szlachty, obrona języka ojczystego, kultury i samodzielności narodowej przed zakusami tych, którzy nas nawet nie uważają za naród, jeno za ludzi, którym gwałtem chcą narzucić swe dążności historyczne i swą kulturę, walka przeciw szlachecko-klerykalnej reakcyi, która chciałaby zatopić w swych falach wszelki ruch postępowy, wszelkie dążenie do światła, do wolności nietylko u Rusinów, lecz także u szerokich warstw pracujących narodu polskiego!...*)

Rusin.

*) „Wobec żądań powszechnego prawa głosowania,“ *Tyg. Pol.* zeszyt 6, str. 139.

**) „Demokracya narodowa, czyli wszechpolska,“ zeszyt 2, str. 35.

Pomnik dla Taine'a.

Rada miejska Vauziers powzięła zamiar uczczenia pamięci urodzonego tam Hipolita Taine'a przez wzniesienie mu pomnika. W tym celu uformował się komitet, złożony z miejscowych senatorów i deputowanych, do którego weszli też Maurycy Barrès, Paweł Bourget, Gaston Boissier, członkowie lub ex-członkowie znanej powszechnie ze swego wstecznictwa ligi „Patrie Française.“ Komitet pomiędzy innymi zwrócił się z prośbą o czynne poparcie do prof. A. Aulard'a i oto, jaką ocenę Taine'a dał w odpowiedzi znakomity historyk, specyalnie, jak wiadomo, oddający się studyom nad Rewolucyą francuską. Ta odpowiedź narobiła niemałej wrzawy w Paryżu, a ze względu na kult, jakim się cieszy Taine u nas, zasługuje na poznanie.

„Zdaje mi się, że nie jestem fanatykiem. Nietylko nie czuję niechęci do historyków, w których widzę moich przeciwników politycznych, ale przyznam się, doznaję nawet większej przyjemności i widzę większą korzyść w odczytywaniu historyka prawicy, niż historyka lewicy, ponieważ zmusza mnie on do sprawdzenia własnych pogląd-

*) Sprawa polsko-rusińska w Galicyi pozostaje ciągle tak skażoną namiętnościami, a nawet tendencyjnemi kłamstwami, że należyte i bezstronne rozjaśnienie jej powinno być pierwszorzędnym obowiązkiem pisma, które czcząc prawa swego narodu, strzeże się odmawiania ich innym i które pragnęłoby w tego zatargu wnieść wpływ uśmierzający. Dlatego nietylko zamieszczamy artykuł powyższy, ale otworzymy kolumny *Prawdy* dla każdego głosu rusińskiego, który się odezwie bez obłudy i gniewu a z czystych pobudek sprawiedliwości i wspólnego dobra. *Red.*

dów, ponownego badania kwestyj, które uważałem za rozstrzygnięte, i przywrócenia lub utrwalenia owego nastroju krytycznego, który dla nas ludzi świeckich i niewierzących jest prawdziwym stanem łaski. Ci nawet, którzy pisząc historyę, nie powstrzymują się od namiętnej obrony własnych przekonań politycznych, mogą być pożyteczni, jeśli zebrane materyały i fakta przedstawiają dość ściśle, dość sumiennie, aby czytelnik mógł wyprowadzić z nich wnioski odmienne. Tak np. praca Mortimer-Ternaux: „Histoire de la Terreur," tak obelżywa dla republikanów i wolnomyślnych, zawiera dokumenty nowe i autentyczne, które czynią książkę tę do dziś dnia pożyteczną nawet, dla szukających jedynie prawdy w historyi, choć Mortimer-Ternaux miał na celu głównie pohańbienie naszych idei.

Jeśliby więc Taine, hołdując prawdzie, oddał takie tylko usługi, jak zapamiętały reakcyonista Mortimer-Ternaux, to zdaje mi się, że wówczas wybaczyłbym mu obelgi i błoto, jakiem obrzucił republikanów i przyczyniłbym się do wzniesienia mu pomnika. Ale jakież usługi oddał Taine prawdzie historycznej? Na czem były oparte jego dowodzenia?

Przy wyborze źródeł nie kierował się żadną krytyką, przyjmował i użytkował z każdego dokumentu, który zdawał mu się potwierdzać jego założenie, usprawiedliwić jego nienawiść do Wielkiej Rewolucyi: świstki potwarcze lub sprośne, pamiętniki pisane znacznie później, niż wypadki, pisma apokryficzne, świadectwa kłamliwe lub podejrzane, wszystko to cieszyło się jego zaufaniem na równi z dokumentami poważnymi i autentycznymi. Postawiwszy sobie za zadanie dowieść, że Rewolucya była rzeczą złą, szukał wszędzie faktów i tekstów, któreby usprawiedliwiły to założenie; jeśli spotkał takie, które się jego zasadniczemu przekonaniu sprzeciwiają, nie chciał ich znać i usuwał ze złością. Jeśli w dziele o 500 stronicach znalazł jeden wiersz, dający się wyzyskać przeciw Rewolucyi, to go chwytał i wprowadzał zręcznie pomiędzy swe zdania, zaopatrując odsyłaczem do owego dzieła, jakkolwiek w całości może ono zawierało dowodzenie wprost przeciwne owemu wierszowi. W jednym np. z kartonów biblioteki Archives Nationales, zawierającym 100 dokumentów, brał jeden, z tego jednego wybierał niezawsze nawet całe zdanie, czasem tylko jeden wyraz, i zaopatrywał go w odsyłacz do swego kartonu.

Przekonać się o tem nietrudno i łatwo zauważyć, że Taine, biorąc wyjątek za ogólne prawidło, wyciągnął z owego kartonu rzecz wprost przeciwną prawdzie.

Przypominam sobie, że pewnego dnia, przeglądając właśnie owe kartony, którymi posługiwał się Taine, znalazłem w jednym wszystkie dokumenty mocno pogniecione, zwróciłem przeto uwagę archiwisty, aby nie być posądzonym o złe obchodzenie się z tak cennemi źródłami. Archiwista Bonassieux odpowiedział mi na to z uśmiechem: „To Taine zrobił; wściekły był, ilekroć nie znalazł w jakimś kartonie czegoś przeciw Rewolucyi. Zawsze nas prosił, aby mu wynaleźć coś, coby było dowodem nikczemności lub głupoty Jakobinów." A pan Bonassieux nie był bynajmniej Jakobinem, był szczerym zachowawcą, ale miał przywiązanie Chartysty *) do prawdy.

Nie wystarczało Taine'owi fałszować grunt historyczny stosownie do swej woli, nie zachowywał prócz tego nigdy ścisłości w swych odsyłaczach. Przed kilku laty, w epoce, gdy młodzież wierzyła jeszcze w Taine'a, pewien student, przyszedłszy do mnie, mówił mi ze czcią o dziele *Origines de la France contemporaine*, a zgorszony nieco, że pracy tej nie uważałem za historyczną, przytaczał obfitość odsyłaczów, jako dowód głębokiej erudycyi autora. Odpowiedziałem mu na to: „Otwórz pan książkę Taine'a na jakiejbądź stronicy, a następnie sprawdź odsyłacze w odnośnych dziełach, które znajdziesz w mej bibliotece." I oto, mój młodzieniec bierze się do roboty, łazi po drabince, szuka, wyciąga książki, porównywa, zapisuje ołówkiem i po pewnym czasie zmieszany powiada: „Nie pojmuję, jakim sposobem to się dzieje, ale na dziesięć odsyłaczów znajduję ledwie dwa lub trzy dokładne." A po chwili dodał: „A przecież Taine był uczciwym człowiekiem,"

Ależ naturalnie uczciwym, i niedość tego — pracowitym, skromnym, bezinteresownym, zacnym. Miał wszystkie zalety człowieka prywatnego. Ale był namiętnym i do tego stopnia systematycznym, że było dlań fizyczną niemożebnością widzieć to, co jego namiętności się nie podobało, co krzyżowało jego system. Miał tyle zapału, a w jego rozumowaniu refleksya tak małą grała rolę, że mieszał wszystko — notatki i cyfry, i w końcu sam nie wiedział, skąd czerpał dane; gdy mu się zdawało, że oddaje wiernie dokument, pisał właściwie to, co mu dyktowała jego wyobraźnia romantyczna i niepowściągliwa. Z tego rodzaju fanatycznego, powiem nawet chorobliwego posługiwania się źródłami wyszła karykaturalna historya Rewolucyi, której Kościół używał na swą korzyść, jako broni przeciw nam, przeciw rozumowi, przeciw Rzeczypospolitej. Kościół cieszy się, gdy znajduje obrońców pomiędzy nawróconymi wolnomyślicielami, rozgoryczonymi filozofami. Taine, jako katolik, niewielką byłby dlań pomocą; jako niewierzący był w XIX wieku najpotężniejszym filarem ducha wstecznictwa. Duchowieństwo z radością i tryumfem powołuje się na Taine'a w swej walce z demokracyą społeczną i wolnomyślną, a to on właśnie sfałszował, zachowując pozory erudycyi, historyę początków tej demokracyi. Przestraszonej burżuazyi, nienawiściom wsteczników, całej reakcyi dostarczył argumentów niby historycznych. A jeśli w swej młodości wyzwolił się z pod jarzma dogmatyzmu, to za to w wieku dojrzałym usiłował nałożyć nam jarzmo wszystkich sił przeszłości. Jego erudycya jest fałszywą, dziecinnie fałszywą, a jednak sprawiła, że traktowano na serjo owe grube tomy, bezczeszczące Rewolucyę. Wpływ tego dzieła był ogromny, zarówno we Francyi, jak i po za jej granicami. Można powiedzieć bez żadnej przesady, że przyczyniło się ono w znacznej mierze do zdyskredytowania w świecie cywilizowanym haseł z 1789 r. Można odnaleźć wspomnienia Taine'a nawet w encyklikach papieskich przeciw liberalizmowi i racyonalizmowi. I dziś jeszcze w kołach inteligentnych, „dystyngowanych," należy do dobrego tonu mówić z wielką czcią o zasługach Taine'a, jako historyka.

My zaś, służąc prawdzie, mówić będziemy nadal w złym tonie, bez szacunku, że Taine nie jest historykiem a jedynie pamflecistą prawicy. Niechże mu przeto stawiają pomnik przedstawiciele Kościoła katolickiego, zachowawcy i nacyonaliści, którym tak dzielnie pomógł zwalczać ducha republikańskiego, demokratycznego i wolnomyślnego.

(z.)

*) Nazwa ta oznacza ucznia École des Chartes, z której wychodzą wykwalifikowani archiwiści i bibliotekarze.

Znaczenie społeczne tanich kolei.

Marzyciele spodziewają się, jak wiadomo, zniesienia w przyszłości odwiecznego, przez kapitalizm do ostatecznej krańcowości doprowadzonego antogonizmu między wsią a miastem. Dziś przemysł wielki przyciąga ludność ze wsi do miast, gdzie jest skoncentrowany i gdzie ta ludność dusić się musi fizycznie i moralnie w ciasnych, brudnych, drogo opłacanych koszarach, ledwie korzystając z niewystarczających półśrodków zaradczych—zadrzewiania ulic i placów itp. — przedsiebranych w ostatnich czasach przez świadome swych obowiązków społecznych zarządy miejskie. W owej wymarzonej przyszłości cały kraj ma być jednem wielkiem miastem, a zarazem jedną wielką wsią. Miastem, ponieważ mieszkańcy korzystać będą ze wszelkich zdobyczy kultury i komfortu w życiu publicznem i prywatnem: z teatrów, bibliotek, wodociągów i oświetlenia; wsią—gdyż każda rodzina, o ile możności, mieć będzie dom własny, oddzielony od innych ogrodem, a grupy tych domów rozsiane będą wśród pól, łąk i lasów. Oczywiście, czy ten ideał, malowany między innymi przez Williama Morrisa, urzeczywistni się kiedy w zupełności—niewiadomo; trzeba raczej przyznać słuszność Edwardowi Dawidowi, który w najnowszem swem dziele o kwestyi rolnej wyraża powątpiewanie, czy społeczeństwo będzie mogło kiedy zdecydować się na takie zniszczenie lub pozostawienie odłogiem pracy pokoleń, nagromadzonej w dzisiejszych, wielkich miastach, czy obejść się będzie mogło i samo przez się bez tych ośrodków życia kulturalnego, że jednakowoż rozbrat między wsią a miastem, wykluczanie się nawzajem życia miejskiego i wiejskiego, mogą być znacznie złagodzone, na to trzeźwa, rozsądna rozwaga bezwarunkowo zgodzić się może, licząc na olbrzymi, wciąż wielkimi krokami postępujący rozwój dróg komunikacyi pod względem ilości, rozgałęzienia, szybkości ruchu i taniości! Ba! już dzisiaj w krajach najwyżej cywilizacyjnie rozwiniętych—czyli najbardziej uprzemysłowionych — zauważyć można całkiem poważne objawy rozwoju w powyższym kierunku.

Takim krajem jest Belgia. Właśnie poseł Emil Vandervelde, znany nietylko ze swej działalności politycznej, lecz również z bezstronnych i bezpośrednich badań nad położeniem i sposobem życia ludności, pracującej w mieście i na wsi, zebrał i ogłosił (w *Soziale Praxis*, niemieckim „organie centralnym polityki socyalnej", wychodzącym pod redakcyą prof. E. Francke'go) bardzo ciekawe dane o robotnikach miejskich, fabrycznych, przyjeżdżających codzień na roboty ze wsi, w których mieszkają, przepędzają noce i święta.

„Udajmy się—pisze Vandervelde — na małą stacyę kolejową, odległą o jakieś 20 kilometrów od Brukselli: Rixensast, Gemal albo La Hulpe. Zajeżdża wieczorem pociąg nadmiernej długości, złożony prawie wyłącznie z wagonów trzeciej klasy. Z szybko otwartych drzwi wybiegają gromady robotników w zakurzonych, zbrukanych odzieniach; tłoczą się przez cały peron ku wyjściu, pędzeni gorączkowym pośpiechem przybycia do domu, gdzie ich oczekuje wieczerza. I co kwadrans, od zaczęcia się zmroku aż do zapadnięcia ciemnej nocy, przybywa pociąg za pociągiem, wyrzuca część swego ładunku ludzkiego i oddaje wszystkim wioskom, leżącym wzdłuż kolei, całe oddziały mularzy, sztukatorów, robotników, pracujących przy bruku, stolarzy, niosących worki z narzędziami na plecach. Gdzieindziej przyjeżdżają tymi pociągami górnicy, hutnicy, robotnicy z walcowni i giserni, którzy z zagłębia Mons, Charleroi, Leodyum śpieszą do domu, do jakiejś, o 50—60 kilometrów odległej, zapadłej wioski we Flandryi czy Limburgu. Gdzieindziej znów odbywają takie same podróże dokowcy z Antwerpii, tkacze z fabryk w Roubaix i Tourcoing (już za granicą francuską leżących), metalowcy również z Francyi. Jednem słowem

mało już się znajdzie wiosek w Belgii, gdzieby nie było garści mniejszej lub większej robotników przemysłowych, pracujących gdzieindziej, często bardzo daleko".

Takie wędrówki ze wsi do miasta na robotę nie są oczywiście zjawiskiem nowem; i dawniej, nawet przed zaprowadzeniem kolei, chodziły całe rzesze robotników budowlanych i ulicznych ze wsi do miasta, często dość daleko, a nie mieszkały tam stale. Ale ci robotnicy nie mogli robić inaczej, tylko opuszczali dom w niedzielę wieczorem lub w poniedziałek przed świtem i wracali dopiero w sobotę nocą; szli do miasta na cały tydzień. Stąd wynikało, że w mieście musieli wynajmować nocleg w straszliwych norach, pełnych tłoku i zaduchu, że, nie chcąc całego zarobku wydawać na jedzenie, zabierali z domu na plecach olbrzymie bochny chleba, do kół od wozu podobne, i worki z kartoflami i tem żyli, jak mogli najdłużej. Gdzie brak komunikacyi kolejowej, jak w Dolnym Luxemburgu, tam podług osobistych obserwacyj Vanderveldego, dotychczas się tak dzieje. Ale uprzystępnienie tej komunikacyi polepszyło niezmiernie położenie robotników wędrownych i dopiero rozwinęło na wielką skalę ich sposób życia, polegający na ciągłem wahaniu się między wsią a miastem.

Uprzystępnienie to nastąpiło w r. 1870. Wówczas rząd ogłosił specyalną, zniżoną taryfę dla robotników, jeżdżących ze wsi do miasta i z powrotem. Rząd nie miał wówczas szerszych widoków socyalno-politycznych, nie przewidywał całej doniosłości swego rozporządzenia; szło mu tylko o zaradzenie chwilowej trudności fabrykantów w dostaniu potrzebnej ilości sił roboczych. Mógł uciec się do tego środka, ponieważ koleje były i są w Belgii upaństwowione, nie miał więc przeszkody w oglądaniu się na zyski ich akcyonaryuszy. Taryfa jest zastosowana do różnych potrzeb i zdumiewająco nizka. Wydawane są bilety codziennej jazdy tam i napowrót na 6 dni i na 7 dni, bilety na jednorazowy przejazd wraz z powrotem po upływie tygodnia, oraz bilety na jeden przejazd codzień w ciągu 6 albo 7 dni. Cena oblicza się podług odległości od 5 *aż do 250* kilometrów: na takie odległości przypadają już oczywiście tylko bilety na przejazd z prawem powrotu po tygodniu, ale bilety codziennej jazdy tam i napowrót wydawane są jeszcze na odległość 100 — kilometrów! Cena biletów tego ostatniego rodzaju zaczyna się od 95 centimów a dochodzi do 3 fr. 15 ctm., wzrastając wolniej, niż odległość; 50 kilometrów tam i napowrót może robotnik przejeżdżać codzień przez 6 dni za 2 fr. 25 ctm., gdy zwykły podróżny za jednorazowe przebycie takiej odległości tam i napowrót płaci 3 fr. 05 ctm. Zniżka zatem olbrzymia.

O potrzebie, której ta reforma odpowiadała i którą podsycała, świadczy niesłychany wzrost ilości tanich biletów robotniczych: w roku 1870 wydano ich tylko 14,228, w cztery lata potem—już 100,000, w r. 1889—milion, a w 1901—4½ *miliona!* (Cyfry otrzymał Vandervelde bezpośrednio od państwowego zarządu kolei).

Ze szczegółowego rozkładu ogólnej ilości biletów podług kategoryj i podług miesięcy wynika, że użytkowanie z nich jest prawie równomierne; w styczniu i lutym trochę mniej biletów z powodu martwego sezonu w niektórych fachach, w czerwcu, wrześniu i grudniu trochę więcej, ale wahania niewielkie. Prawie 80% biletów — bo aż 3,3 miliona, wydanych robotnikom fabryk prywatnych oraz 400,000, wydanych osobom pracującym w przedsiębiorstwach i biurach rządowych—są to bilety codziennej jazdy tam i napowrót na 6 lub 7 dni (te ostatnie — około 6% — brane są przez robotników, niemających odpoczynku w niedzielę). Z równomiernej ilości biletów w ciągu całego roku można wnioskować, że używają ich stale robotnicy, mający zatrudnienie w mieście, a mieszkanie na wsi; gdy więc każdy kupuje ich 40 do 50 rocznie, zatem liczbę jeżdżących codzień kolejami państwowemi można określić na blizko 100 tys., a dodawszy tych, co jeżdżą tramwajami, kolejkami podjazdowemi itd., z pewnością otrzymamy przeszło 100 tysięcy robotników przemysłowych, pędzących życie w ten sposób — na ogólną ilość 900,000 w Belgii. Jeżdżą oni nieraz daleko: około 40% mieszka, sądząc z używanych biletów, na odległości mniej niż 10 kilometrów od warsztatu, około 50% na odległości 10 do 25 km.; ale 10% jeździ dalej — niektórzy, oczywiście nieliczni, aż o 50 i 70 kilometrów!

Wydano przeszło 650,000 biletów na przejazd jednorazowy z powrotem po tygodniu, co każe przypuszczać istnienie jakichś 13,000 robotników, wracających do domu na wieś tylko na niedzielę, głównie z powodu odległości. Lecz znaczna większość wraca codzień na wieczerzę i nocleg do domu, na wieś, zdala od kurzu i zaduchu fabrycznego, od zgiełku wielkiego miasta. Jak przekonały Vanderveldego osobiste wywiady, robotnicy bardzo wysoko cenią sobie możliwość takiego życia. Większość między nimi, to, jak się zdaje, nie tacy, którzy nigdy nie opuszczali mieszkania na wsi, lecz tacy, którzy z miasta z powrotem przenieśli się na wieś. Motywują to: tanością i wygodą mieszkań, która wynagradza wydatek za kolej, dobrem powietrzem, względami zdrowia, wielu też zachwyca się możnością posiadania ogródka przy domu i odświeżającej w nim pracy w chwilach wolnych, świątecznych. Dla tych względów nie wahają się iść często jeszcze parę kilometrów pieszo od stacyi do domu. Oczywiście, wychodzi to wszystko na pożytek tym, którzy mają względnie krótki dzień roboczy. Ci, którzy pracują nadmiernie długo, zwiększają tylko swe znużenie, odbierają sobie ostatnią resztkę wolnego czasu. Autor przytacza przykłady takich, co mając 12-godzinny dzień pracy, wskutek złego rozkładu pociągów i odległości mieszkania od stacyi zmuszeni są jeszcze rano i wieczorem tracić po 3 godziny na komunikacyę, poczem zostaje im 6 godzin na wieczerzę, oczyszczenie się i sen—bo o życiu rodzinnem tu już nie może być mowy. Jeśli ludzie ci pomimo to nie przenoszą się na stałe do miasta, to już bynajmniej nie dlatego, że chcą kosztować rozkoszy wiejskich, lecz że zajęcie ich, nędznie płatne, bywa w dodatku niestałe, więc nie mogą się obejść bez chałupy, skrawka gruntu i nadziei otrzymania na wsi, w razie braku pracy, jakiegoś czasowego zarobku.

I w tym więc wypadku ewolucya, zmierzająca wyraźnie do wyższych form bytu, na razie daje się bardzo we znaki tym, co już i tak najcięższe nieśli brzemię; pomimo to jednak jest ona wysoce pocieszająca i pouczająca. *Kr.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przeciwko czemu protestują.

Telegram z Wiednia: „Poseł Gniewosz oświadczył w rozmowie, że całe Koło polskie wystąpi przeciw zaprowadzeniu języka madjarskiego w armii węgierskiej." Gdyby to nawet nie było prawdą, to jest prawdopodobieństwem. Takich bowiem „protestantów" przeciwko cudzej niepodległości oddawna i dobrze znamy, a jest ich więcej, niż potrzeba dla utrzymania równowagi między mądrością a głupstwem. Skąd się wziął ten gatunek w rodzie polskim, sławnym niegdyś z poszanowania samoistności innych narodów, trudno powiedzieć; to wszakże pewne, że pojawił się równocześnie z naszym upadkiem moralnym, — co jest naturalne i żyje dotąd — co jest potwornie dziwnem. Czytajcie tylko uważnie artykuły polityczne naszych gazet. Jak w nich często pióro zamienia się na bagnet! Ile tam pobłogosławionych gwałtów i usprawiedliwionych krzywd, a zarazem ile skarconych i napiętnowanych dążeń do swobody! Jaka pohopność do odpuszczania najcięższych win w imię „wyższych racyi stanu! Zdaje się, że to nie są ofiary, ale wychowańcy Bismarka, który wygrażają nieposłusznym chudemi piąstkami.

Skoro nie można z historyi wydrzeć szpetnych kart, trzeba przynajmniej nie przepisywać ich dla potomków złotemi głoskami. Taką kartą jest np. udział legionu polskiego w wojnie Napoleona z Hiszpanią. Ludzie, których serca pękały od bólu po straconej ojczyznie, których usta buchały płomieniami skargi, którzy napełnili cały świat cywilizowany jękami swojej niedoli, ci sami ludzie wstąpili do szeregów okrutnego i bezmyślnego bandyty, ażeby dla dogodzenia jego rozbójniczej ambicyi pomagać w rozbiciu i ujarzmieniu niewinnego narodu. Niedawno jeszcze wskrzeszano z zapałem nieszczęsny popis Kozietulskiego i jego towarzyszów. Odwaga junaków, którzy padali pod morderczymi strzałami broniących się rozpaczliwie Hiszpanów i — jak mówią Homerowie tej paskudnej Iliady — „rozstrzygnęli wspaniale kwestyę możliwości ataku kawaleryi na obwarowane pozycye artyleryi" — brawura żołnierska, uwieńczona zwycięztwem, zasłoniła im ohydę jej celu i każe dotąd widzieć chwałę tam, gdzie była niepomna własnych żalów niecnota. Z wielkim nakładem wiedzy i godną lepszych pobudek zgrozą oburzano się na historyków francuskich, wydzierających dla swoich wodzów wawrzyny, zdobyte przez Polaków pod Somosierra. Tymczasem należałoby raczej cieszyć się, że są amatorowie, pragnący odebrać nam ten wieniec i należałoby go darować bez pretensyi każdemu, kto chce nim ozdobić swe czoło. Byłby on bowiem zawsze niezaszczytny a był tem bardziej sromotny, że o niego walczyli tacy ludzie i w takim czasie. Zresztą jeśli im przebaczyć można przez wzgląd, że nieprawości swej służby w złem przedsięwzięciu mieli zamiar okupić złudną nadzieją uratowania własnego kraju, to my których ta nadzieja już nie omamia i którzy widzimy tylko nieprawość, nie powinniśmy mianować jej szlachetnem bohaterstwem. A wobec zarazy moralnej, roznoszonej przez motyle skrzydła prasy chorej na „racye stanu," trudno pocieszać się przekonaniem, że one zaledwie muskają uwagę swych czytelników i szybko giną zapomniane. Wywierają one bowiem wpływ niewątpliwy na opinię ogółu, który nie jest przeciwko nim zabiezpieczony ani logicznym rozumem, ani stałemi zasadami. Dla tłumu śmiały rycerz, pędzący w rozwianym płaszczu na pięknym koniu, jego krzyk: „chłopcy za mną!" oddział wojska, biegnącego zwartą kolumną, wystarcza do zachwytu, chociażby celem tego ataku był dziki mord, a pod kopytami rozmiażdżały się głowy niemowląt. Będzie on z równem uniesieniem wysławiał Sobieskiego pod Wiedniem, który odpierał napad, jak Kozietulskiego pod Somosierra, który uczestniczył w napadzie. Tu i tam odnajdzie „poezyę męztwa" — i nią się lubuje. Logika jego sądów i uczuć nie splata się nigdy z pasem jednorodnych: jest to dziwaczny sznur, w którym powiązane są z so-

bą kawałek skręconych konopi, kilka łokci drutu, węgorz, parę nitek jedwabiu, łasica, sitonić, krajka sukienna, żmija, pasek złotogłowiu itd. A prasa ustawicznie przyczepia do tego sznura nowe przydatki, dziś kiełbasę, jutro taśmę, nie starając się bynajmniej doprowadzić go do jednolitości. Nic też dziwnego, że ów tłum, któremu dla każdego wypadku daje się do rąk inną miarę, umie równocześnie: płakać nad straconą niepodległością, i cieszyć się z cudzej niewoli, ochraniać swoją narodowość i odmawiać praw cudzej, domagać się sprawiedliwości i deptać ją, skarżyć się na prześladowanie i prześladować Żydów lub Rusinów, gwałcić na każdym kroku przykazanie: „nie czyń bliźniemu tego, czego nie chcesz, ażeby tobie czyniono.“

Po za tą masą i nad nią stoją ludzie, którzy zagłuszają w sobie owe sprzeczności najbardziej wytartym frazesem, jakim kiedykolwiek łatała dziury swych łachmanów etyka polityczna, „rozumem stanu“. Jeżeli frazes ten nie jest przejrzystym wykrętem lub krótkowidztwem, to jest nieudolnością imaginacyi, niemogącej wyobrazić sobie innego układu stosunków ludzkich, niż ten, na który patrzą. Mniemają oni, że świat rozpadłby się w gruzy, gdyby w jego budowie zmienić kilka cegieł, co najwyżej godzą się, ażeby ją nieco przewietrzyć i zamieść. Ot np. istnieje Austrya, wcielony nonsens polityczny, spróchniałemi obręczami zbita beczka państwowa, w której każda klepka pochodzi z odmiennego pnia i żadna nie przystaje do innych. Mimo starannych pobijań ciągle cieknie — to jednak bednarzów nie zniechęca i nie przekonywa. Wierzą dalej, że ona da się utrzymać w całości i napełnić życiem. Kilkanaście narodów w niej wre, walczy z sobą coraz wścieklej, znieprawia się coraz bardziej, parlament stał się widownią najbrutalniejszych scen i ciałem od dawna bezpłodnem, utworzyło się w państwie mnóstwo wulkanów, których lawy ostudzić i kraterów zatkać niczem nie można — wszystko to jeszcze nie dowodzi wyznawcom „rozumu stanu,“ że ów sztuczny zlepek rozkłada się ostatecznie. Poprostu nie mogą oni pomyśleć, ażeby Austrya przestała istnieć w obecnym swym kształcie bez jakichś strasznych następstw dla składających ją ludów, ażeby to, co się wyłoni z jej rozpadu, nie było żywotem potwornym i poronionym. Więcej ufają sztucznym sposobikom dyplomacyi, niż naturalnym siłom zbiorowisk człowieczych, które zawsze, prędzej czy później przetorują sobie drogę rozwoju. Wątła siatka pająków gabinetowych wydaje im się tak mocnem wiązaniem, że ona skrępuje i ubezwładni potężne ruchy narodów — złudzenie, któremu doświadczenia przeszłości tysiąc razy kłam zadały. Z tego złudzenia bez skoku przechodzi się do chłostania „warchołów“ galicyjskich za ich burzliwe występy, do dawania Czechom lekcyi przykładnej konduity, do kopania Rusinów za ich odszczepieńcze dążności, do ganienia Węgrów za chęć wyparcia niemczyzny z armii i zdobycie niezależności. Powtarzam, wszystko to robią ludzie, którzy jednocześnie we własnym interesie i w teoryi umieją wprawnie recytować wszystkie dogmaty katechizmu swobody. A okazują tę dwulicowość tak śmiało, jak gdyby dla poparcia jej mieli druzgocącą potęgę a nie nędzę i niemoc, jak gdyby złe czyny znikały z życia bezpłodnie i bezkarnie, jak gdyby po nich nie przychodził odwet.

„Koło polskie oświadczy się przeciw zaprowadzeniu języka madjarskiego w armii węgierskiej.“ Ciekawa rzecz, coby też takie Koło powiedziało, gdyby Węgrzy oświadczyli się przeciwko jego językowi w szkołach i sądach galicyjskich? Och, ci politycy, którzy biegają okraczywszy kij, a sądzą, że jeżdżą na wysokich koniach!

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

SPOSTRZEŻENIA nad najnowszą historyografią polską.

—•—

II.

Jeszcze o prawdzie w badaniach historycznych

Prof. Szymona Askenazego.

Na mój artykuł o *Odgłosach Targowicy*, pomieszczony w nr. 12 *Prawdy* z r. b., prof. Askenazy odpowiedział na szpaltach *Kwartalnika historycznego* w rozprawce p. t. *Metody i warunki krytyki naukowej w zakresie dziejów nowożytnych.* Rozprawkę tę roztrząsnę w granicach, wiążących się bezpośrednio z memi spostrzeżeniami nad *Odgłosami Targowicy*, poczem dorzucę nieco nowych szczegółów, świadczących o uczoności p. Askenazego.

Zdaniem p. Askenazego, moja krytyka „jest wzorem doskonałym, jak recenzować zgoła niepodobna.“ Zawarty w niej materyał ilustruje „najlepiej, bo poglądowo, opłakane skutki niewłaściwej metody krytycznej w zakresie nowożytno-dziejowym.“

Skutki mej metody krytycznej są istotnie „opłakane“...

Z długiego szeregu zarzutów, które zregestrowałem w spostrzeżeniach nad *Odgłosami Targowicy*, p. Askenazy uznał za właściwe w polemice swej ze mną pokryć milczeniem następujące:

1) Potocki nie odpowiedział Stanisławowi Augustowi 2 sierpnia *krótko*; nie aprobował kroku króla i nie upewniał go o życzliwych swych uczuciach.

2) Po drugim akcesie Potocki nie wzbraniał królowi przystępu do czynności publicznych.

3) Pospolite ruszenie nie było odwołane.

4) Potocki nie „królował *u siebie* w Targowicy, Konstantynowie i Tulczynie.“

5) Armia pruska nie goniła wojsk polskich *bez wystrzału*.

6) Nie podał p. Askenazy miejsca datowania listów.

7) W jednym z listów opuścił „et de Prot Potocki.“

8) Odezwa Potockiego do wojsk datowana jest nie 1 stycznia 1793, lecz 29 grudnia 1792 r.

9) W cytacie do str. 306 list Potockiego nie z 7, lecz z 2 sierpnia.

10) Cytata do str. 308 (Bułhakow do Pot. 25, 27 sierp.) zrobiona jest z listu Szczęsnego do Bułhakowa z 2 września.

Zarzuty powyższe p. Askenazy pokrył wstydliwem milczeniem dlatego, że nie znalazł w swej głowie pomysłów do odpowiedzi na nie. Chyba nie mógł ich zbagatelizować, skoro bardzo obszernie rozwiódł się nad szczegółami podrzędniejszymi. Więc zarzuty te są zasadne. Są zaś ważne, okazują bowiem, że p. Askenazy: 1) rozwodzi się nad dokumentami, których nie czytał, i pisze o nich rzeczy niestworzone; 2) zmyśla fakty; 3) nie zna topografii kraju i stosunków majątkowych Szczęsnego Potockiego; 4) lichym jest edytorem; 5) improwizuje cytaty. Tyle i takich uchybień w rozprawce o kilku kartach druku! Mógłbym poprzestać na nich; mógłbym zaniechać nieprzyjemnej z p. Askenazym polemiki w sprawie innych zarzutów. Z udowodnienia p. Askenazemu błędów, do których sam milcząco się przyznał, wynika wniosek, że w mojem recenzowaniu niema nic zdrożnego; że moja metoda krytyczna w zakresie nowożytno-dziejowym nie jest najgorszą. Opłakane skutki tej metody krytycznej spadają oczywiście tylko na autora niefortunnych *Odgłosów Targowicy*.

Jeszcze bardziej opłakane dla p. Askenazego skutki wynikną z roztrząśnięcia jego osobliwych pomysłów polemicznych.

* * *

Zarzuciłem p. Askenazemu nieścisłość cudzysłowów: 1) w liście Potockiego do króla ze stycznia r 1792; 2) w liście króla do Potockiego z 24 lipca. Zarówno Potocki z królem, jak król z Potockim korespondowali po polsku. Mając przed sobą listy: Potockiego do króla ze stycznia r. 1792 i króla do Potockiego z 24 lipca, dostrzegłem, że w nich niema przytoczonych przez p. Askenazego wyrażeń: w pierwszym „niewolnictwo“ i „dzień feralny,“ w drugim — „osobistego zaufania“ i „serce swoje otwiera.“ Cóż na to p. Askenazy? Oto składa w redakcyi *Kwartalnika historycznego* tłomaczenie francuskie listów; 1) Potockiego do Małachowskiego z 19 stycznia r. 1792, 2) króla do Potockiego z 24 lipca, na dowód, że cudzysłowy podał „w retradukcyi na pierwotny ich tekst polski.“ Proszę uważać: „w retradukcyi na pierwotny... tekst polski“! A dlaczego to p. Askenazy nie spożytkował tych listów w tekscie oryginalnym, tj. polskim? Czyż profesor, kierownik seminaryum historycznego nie wie, że do badań dziejowych należy używać tekstów oryginalnych, nie tłomaczeń, nie „retradukcyi“? Czyż nie domyśla się, że tłomaczenia bywają nieścisłe lub wprost błędne? Oto Potocki w liście do Zubowa (ogłoszonym przez Pułaskiego) przyznaje, że pismo jego z 2 sierpnia do króla sekretarz przetłomaczył na język francuski wadliwie. W przytoczonym przez p. Askenazego ustępie przekładu francuskiego listu króla do Potockiego z 24 lipca, czytam: „Vous ouvrant mon coeur avec franchise...“, gdy tekst oryginalny głosi: „W tej otwartości wynurzając mój umysł...“ Czemuż p. Askenazy nie użył tekstów oryginalnych? Bo podczas pisania *Odgłosów Targowicy* nie wiedział o ich istnieniu! Nie wiedział pomimo tego, że list Potockiego do Małachowskiego ogłosił Korwin w r. 1890, a list króla do Potockiego miał pięć znanych mi edycyj, cztery w XVIII, jedną w XIX wieku *). Któż więc w tym wypadku ma słuszność: ja, com w cudzysłowach p. Askenazego szukał wyrażeń tekstu oryginalnego, czy amator „retradukcyi“? P. Askenazy zadrwił sobie z redakcyi *Kwartalnika historycznego*, przedstawiając jej z niezrównaną brawurą przekłady francuskie listów — dla zdyskredytowania mej „niewłaściwej metody krytycznej w zakresie nowożytno-dziejowym...“

Że cytowany przez p. Askenazego list Potockiego do Małachowskiego z 19 stycznia nie ma żadnego związku z tekstem *Odgłosów Targowicy*, w którym jest tylko streszczenie odmowy Szczęsnego, danej królowi (a nie marszałkowi sejmowemu) — to chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości! Cytata tego listu jest... dewizką, przyczepioną do... niewłaściwego guzika. Wykazałem to najdowodniej (ob. nr. 15 *Prawdy*), alem, niestety, nie zdołał przekonać p. Askenazego. Owszem, nieugięty profesor taką mi oto daje odprawę:

Po ukazaniu się artykułu p. S. będąc w Warszawie, a mając tam pod ręką z papierów St. hr. Kossakowskiego tekst polski rzeczonego pisma Potockiego, ogłosiłem je natychmiast... Wielce oryginalny sposób, w jaki usiłował p. S. wywinąć się od tego pierwszego ostrzeżenia, jest po za wszelką dyskusyą... polega na tem, aby, zamiast pierwotnego, upadającego zarzutu rzekomego zmyślenia cudzysłowu, podstawić zarzut rzekomej niestosowności cytacyi. Dodam jeszcze na dobitkę, że tenże zakwestyonowany list Potockiego do Małachowskiego już dawno był ogłoszony w całości,

---

*) Bibliografia Estreichera podaje dwie edycye łącznie z listem Potockiego do króla z 2 sierpnia. Trzecia edycya w *Korresp. warszawskim* z r. 1792, str. 434. Czwartą znam z osobnej luźnej kartki w bibl. ord. hr. Krasińskich. Piąta edycya z w. XIX przy *Pamiętnikach* St. Kosmowskiego.

tylko bez daty, przez S. Korwina... o czem chyba powinien był wiedzieć krytyk, powołujący się na swoje „studya specyalne.“

Wymowę moich argumentów p. Askenazy zagłusza hałasem pustych frazesów. Najparadniejsza jest pretensya, żem nie wiedział o liście, którego... nie znał p. Askenazy, choć pisał o nim i cytował go...

Nie będę z p. Askenazym kruszył kopii o to, czy w liście króla do Potockiego z 24 lipca mieści się skrucha i korzenie się, bo „różne być mogą o godności monarszej i ludzkiej pojęcia“; lecz nie mogę pominąć kwestyi: czy Stanisław August *osobiście* zawiadomił Szczęsnego o swym akcesie? Według p. Askenazego, król:

O przystąpieniu do wspólnego... dzieła pospieszył osobiście donieść Potockiemu... W pokornych, wyrazach Stanisław August zawiadamia marszałka o swoim akcesie...

Co to znaczy: *osobiście* i *w pokornych wyrazach... zawiadamia?*

Król przebywał w Warszawie, Potocki w Dubnie; więc pierwszy mógł zawiadomić drugiego *osobiście i w pokornych wyrazach* nie inaczej, jak piśmiennie, tj. jak twierdzi sam p. Askenazy w *Odgłosach Targowicy*— listem z 24 lipca. W rzeczonym liście królewskim niema najmniejszej wzmianki o akcesie, z czego wysnułem wniosek, że Stanisław August nie zawiadamiał Szczęsnego o swym postępku *osobiście*.

Na to p. Askenazy pisze:

Powiedziałem, że król „urzędowy akces“ doręczył Bułhakowowi i że o tym swoim kroku „pospieszył osobiście donieść Potockiemu.“ Proszę dobrze zważyć. Król w Warszawie podpisuje fatalny akt i składa go w oryginale na ręce posła rosyjskiego. Natychmiast, tego samego dnia... pokorne pismo posyła głowie Targowicy, Szczęsnemu, z którym od pół roku zerwał stosunki. Posyła przez miłego Potockiemu Ożarowskiego. Cóż to znaczyło, cóż innego miało na celu, jak „zawiadomić marszałka o swoim akcesie“? Nikt tego inaczej nie zrozumie... Ale nie dość na tem. Jasnem jest, że Ożarowski nietylko z listem królewskim i nietylko z językiem o dokonanym akcesie jechał do Petersburga, ale że musiał mieć w kieszeni daną sobie na drogę dosłowną kopię tego zwięzłego, kilkowierszowego akcesu, będącego wszak odrazu sekretem publicznym. Można tego niechybnie się domyśleć. Ale można też namacalnie wykazać...

Być może, że król miał zamiar przez jadącego do Dubna (na własną rękę, nie w charakterze wysłańca) Ożarowskiego zawiadomić marszałka o swym akcesie. Lecz czy uczynił to w *pokornych wyrazach* listu z 24 lipca? czy zawiadomił Potockiego *osobiście?* Zawiadomił go *przez, za pośrednictwem* Ożarowskiego, a nie osobiście, nie listem, w którym tendencyjnie o akcesie zamilczał. Nie ulega wątpliwości, że Ożarowski jechał do Dubna nietylko z listem królewskim i nietylko z językiem o dokonanym akcesie, ale nawet z dosłowną kopią tego aktu. Czy to jednak ma znaczyć, że król zawiadomił Potockiego o akcesie *osobiście.. w pokornych wyrazach* listu z 24 lipca? Radykalnie zresztą rozstrzyga tę kwestyę odpowiedź na pytanie: czy sam Potocki poczytywał się za zawiadomionego o akcesie przez króla *osobiście?* Odpowieź na to daje list Potockiego do Stanisława Augusta z 2 sierpnia, ten sam list, o którym p. Askenazy niestworzone popisał rzeczy.

Słyszę tu o akcesie WKMości do konfederacyi.... Nie widziałem go autentycznie, zaczem dokładnie o nim mówić nie mogę, lecz jeżeli taki jest, jak go w w kopii pokazują... *)

*) Są to ustępy z tego listu *długiego* i *besztającego*, który p. Askenazy nazwał *krótkim*, aprobującym krok króla i zapewniającym go o życzliwych uczuciach Potockiego. Zachęcony moją krytyką, p Askenazy zapoznał się z nim — z kopij rękopiśmiennych polskich „niedość (jak powiada) pewnych,“ z częściowych ustępów, podanych przez Kraszewskiego („bardzo nieścisłych“) i .. „z autentycznej wersyi francuskiej“ (znowu retradukcya!). Poco p. Askenazy zadawał sobie mozół zgłębiania kopij rękopiśmiennych i wersyi francuskiej, skoro list ten był drukowany w tekście oryginalnym wielokrotnie i to z polecenia samego Szczęsnego Potockiego? Znam trzy edycye z wieku XVIII (dwie z nich z nich zanotowała bibliografia Estreichera), jedną z XIX (przy *Pamiętnikach Kosmowskiego*).

A więc Potocki nie poczytywał się za zawiadomionego o akcesie, choć miał w ręku jego kopię, przywiezioną przez Ożarowskiego. Dlaczego? Dla tej prostej przyczyny, że mu król nie doniósł o swym postępku formalnie, *osobiście*, tj. w liście z 24 lipca.

W ustępie *Odgłosów Targowicy*, poświęconym drugiemu akcesowi Stanisława Augusta, zauważyłem dwa błędy: jeden we frazesie: „z odpowiedzią do króla nie kwapił się marszałek,“ drugi w zdaniu: „Rad był (marszałek) jak najpóźniej dać mu przystęp do czynności konfederackiej, a więc do wpływania na sprawy publiczne.“ Błędy te stwierdziłem, powoławszy list Potockiego do krola z 1 września z Szacka. P. Askenazy przyznał milcząco błąd drugi, z okazyi zaś pierwszego dał mi odpowiedź następującą:

Nie jest to (list z 1 września z Szacka) bynajmniej żadna odpowiedź Potockiego na powyższe osobiste pismo królewskie, ale poprostu oficyalna odezwa konfederacyi gen. kor. do króla, „dana na sesyi,“ podpisana razem z marszałkiem Potockim przez sekretarza Dyzmę Bończę Tomaszewskiego „o nominowanie na komisarzów skarbowych z stanu rycerskiego osób dwóch i tych reskryptem zaszczycenie, iżby Komisya skarbowa kor. mogła mieć do czynności swoich komplet.“ Nietylko więc „nie kwapił się z odpowiedzią“ Potocki, ale naprawdę — choć w innych materyach jeszcze później w okrutnym tonie pisywał do króla — nigdy jej już nie udzielił do śmierci.

A! więc odezwa z 1 września nie jest odpowiedzią na list królewski z 25 sierpnia dlatego, że ma charakter oficyalny, że zapadła na sesyi, że ją razem z Potockim podpisał sekretarz Tomaszewski... Osobliwa argumentacya! Król o swym akcesie zawiadomił Potockiego, jako marszałka konfederacyi. Na takie zawiadomienie wychodzi urzędowa odezwa z podpisem Potockiego, jako marszałka konfederacyi, i jej sekretarza. Dlatego, że urzędowa, nie jest, zdaniem p. Askenazego, odpowiedzią na list królewski z 25 sierpnia. A jakaż miała być — prywatna? Że list konfederacyi generalnej kor. z 1 września był bezpośrednim skutkiem akcesu i listu królewskiego z 25 sierpnia; że był odpowiedzią na te akty, w których Stanisław August wypierał się *zamiarów monarchicznych* — dowodzi jego wstęp:

Konfederacya generalna kor., czuła zawsze o dobro, wolność i rządność tej rzeczypospolitej, której WKMość jesteś głową, nie może lepiej okazać, jak ściśle żąda być z WKMością złączona, gdy go widzi odrzucającego *wszystkie monarchiczne i przeciwne rządowi republikańskiemu projekta*, jak gdy w tym czasie, w którym rzeczpospolita wolność odzyskuje, udzielności tejże rzeczypospolitej tymczasowie cząstkę z ufnością mu powierza.

Klasycznego ustępu o korzeniu się wielkiego Potockiego pod małym urzędniczyną, Bułhakowem, nikt, kto umie czytać, nie zrozumie inaczej, jak ja. Tymczasem p. Askenazy w spostrzeżeniu mojem upatruje „osobliwą kolumbową psychologię... polegającą na odkrywaniu liter, a nierozumieniu istotnego sensu zjawisk i stosunków dziejowych.“ Więc, według p. Askenazego, w ustępie o Bułhakowie mieści się aż „sens zjawisk i stosunków dziejowych“! Aż tyle tego we fragmencie, w którym niema sensu żadnego, nawet gramatycznego (*Zubowych?!*)? Niechże p. Askenazy zaopatruje swe dzieła w komentarze, iżby profani drogocennego „sensu zjawisk i stosunków dziejowych“ nie brali za najpospolitsze niedorzeczności.

Na zarzut, że wyrażenie: „uniwersały na pospolite ruszenie“ p. Askenazy zaczerpnął chyba z nieścisłych podręczników szkolnych, czytam:

Nie śmiem wdawać się w domysły, jaki to mianowicie nieścisły „podręcznik“ pragnął przy tej okazyi napiętnować ostry krytyk. Najpewniej chyba p. Smoleński miał tutaj na widoku nowy, istotnie dość lichy, podręcznik Wł. Grabieńskiego... gdzie w rzeczy samej wydrukowano dosłownie, że „uniwersałem z 11 lutego 1793 r. wezwała konfederacya szlachtę na pospolite ruszenie.“

W tym wypadku odgadł mnie p. Askenazy wyśmienicie. Miałem właśnie na myśli podręcznik Grabieńskiego, który omawianą nieścisłość popełnił tak samo, jak wszyscy historycy, nie wyjmując Szujskiego *) i Korzona **). Taką nieścisłość można wybaczyć podręcznikowi i dziełom, traktującym dzieje konfederacyi targowickiej przygodnie; niepodobna tolerować jej w monografii specyalnej. Obojętne mi jest, czy p. Askenazy popełnił błąd, idąc za Grabieńskim, czy zapożyczył go, jak twierdzi, z raportów Byszewskiego, z dziennika Fiszera, a nawet z listu Potockiego do Sieversa. Istnieje dokument: wielokrotnie drukowany uniwersał z 11 lutego; trzeba go było zobaczyć i rzecz zgodnie z prawdą przedstawić. „Sztabowiec — powiada p. Askenazy — który odbierał uniwersał, ba, sam marszałek, który go wydał, byli mniej ściśli w sposobie wysłowienia się, aniżeli tego wymaga skrupulatny krytyk...“ Tak! byli mniej ściśli. Ale ja nie im zrobiłem zarzut nieścisłości, lecz historykowi, który, gdyby zamiast powtarzać gospodarskie wyrażenia sztabowca i marszałka, poszedł choćby za tytułem uniwersału („Do narodu względem gotowości do pospolitego ruszenia“), odsłoniłby odrobinę „istotnego sensu zjawisk i stosunków dziejowych.“ Miałby zasługę poprawienia Szujskiego, Korzona, Grabieńskiego i wielu innych.

Twierdzę, że Sievers w nocie z 18 lutego nie żądał odwołania gotowości na pospolite ruszenie. Na to p. Askenazy:

Tymczasem Sievers w piśmie urzędowem do kanclerza Małachowskiego,.. żądał nawet wprost „zapobieżenia publikacyi i druku rzeczonego uniwersału... Ciągle ten sam rys metodyczny: odkrywanie liter a przeoczanie faktów.

Więc p. Askenazy mniema, że żądanie „zapobieżenia publikacyi i druku“ uniwersału jest równoznaczne z domaganiem się „odwołania gotowości“? Czy konfiskata dziennika stanowi nakaz odwołania pomieszczonych w nim artykułów?

(C. d. n.)

Władysław Smoleński.

*) „Dzieje Polski,“ Lwów, 1866, t. IV, str. 581. — Hist. pol. ksiąg dwanaście. Warsz., 1880, str. 381.

**) „Wewn. dzieje,“ t. IV, część II, str. 245.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Eliza Orzeszkowa: *Anastazya*. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1903. — *Przędze*. Gebethner i Woff, Warszawa, 1903.

Zapachniały mi lasy i bory, zaszumiały złote zbóż łany, zajaśniały w potokach słońca kwieciste łąk kobierce i wzorzyste błonia, wstęgą błękitną przemknęła rzeka i oto znowu, jak uroczyste zjawisko przesunął mi się przed oczyma kraj nadniemeński. Jak ptaki zleciały się wspomnienia i, czarem ich wskrzeszone, odżyły nagle w pamięci mej dawniej widziane obrazy. I z tamtych bił aromat świeżych pól i z tamtych przemawiała do mnie wiosenna świeżość serc ludzkich. Dziś patrzę na to samo. I świat ten sam, i ludzie ci sami. Dobrzy, dobrzy znajomi... Więc witam ich z uśmiechem i znowu spoglądam na ten kraj piękny, a w opowiadaniach Orzeszkowej zawsze nowe, świeży, a jasny, jak wody kryniczne, a czysty i rzeźwiący, jak rosa, a barwny, a bujny, a cały wyzłocony dobrocią autorki, jak słońcem. Wspomnienia dawne zatarły się nieco, dziś z pewnem zadziwieniem słucham prostej, a prostotą swoją za serce chwytającej opowieści, przenoszę się myślą

w ten cichy, tak niepodobny do całego świata zakątek nadniemeński, patrzę, podziwiam i słucham, a słucham, jak baśni. Z martwych, zadrukowanych stronic książki idzie ku mnie ożywcze tchnienie cicho zadumanych pól, płyną melancholijne szumy boru i równym, zrozumiałem rytmem prostacze uderzają serca. Słucham i słucham, a zdziwienie me rośnie. Więc naprawdę istnieje kędyś, nad błękitnym Niemnem szmat ziemi, gdzie ciemnota nie rozpościera swych czarnych skrzydeł, a myśl, zdolna wzbić się nad poziom codzienności, nie szamocze się w bólu i rozterkach, nie szuka dróg nowych i po manowcach nie błądzi, lecz zna tylko jeden oddawna ubity, a prosty gościniec?. Więc naprawdę istnieją gdzieś ludzie z czystą, niewzruszoną wiarą dzieci i gołębią prostotą, ludzie, żyjący swem własnem i odrębnem życiem, a mimo to na chwilę nie przestający być ludźmi?.. Więc naprawdę nawet podłość nie ma do tego świata dostępu, a zło istnieje tylko, jako koloryt, na którym jaskrawemi barwy odbija się miłosierdzie, szlachetność i poświęcenie?.. Więc naprawdę.

Sto pytań naiwnych ciśnie się pod pióro. Ale bo też świat Orzeszkowej jest taki niepodobny do świata książek dzisiejszych, w tak odmiennym przedstawiany świetle i od życia współczesnego, jakby gęstą mgłą przesłonięty, że nie dostrzegając za nią śladów tych walk, pragnień i żądań, które jak wichura przeszły przez dusze człowieka współczesnego, mimowoli z zadziwieniem pytam.

Anastazya, córka zamożnego gospodarza, jest sierotą. Najbliższa rodzina, zazdroszcząc mienia i dostatku, dręczy ją, upokarza, najżyczliwszy człowiek, uczciwy i biblijnie prostaczy, z przeszłością dobrego obywatela „dziadunćio“ umiera, ten zaś, którego ukochała pierwszą i ostatnią, jak kwiaty polne barwną miłością, porzuca ją dla starej i brzydkiej, lecz bogatszej panny. Wtedy piękną twarz dziewczyny „naznaczył grot bólu, wystrzeliwający z serca,“ a czoło pokryła „chmura, która zstąpiła z przerażonej myśli.“ I oto powstały pytania dręczące: „A co teraz będzie? gdzie woda zapomnienia? gdzie gałąź ratunku? Jak dalej żyć? Czem żyć?“ Anastazya nie walczy ze sobą i nie namyśla się długo. W sercu jej przechowało się niedawne, żywe wspomnienie kobiety, która, uciekając przed burzą namiętności, wyrzekła się wszystkiego i poszła w świat. Siać ziarna miłości, oświaty i miłosierdzia. I znalazła schronienie w dobrych uczynkach i błogosławieństwie ludzkiem. Kobiety tej zabrakło.

Czem żyć?

Anastazya rozdaje swoje dobro ubogim krewnym, a sama pójdzie pomiędzy ludzi z pochodnią oświaty, pójdzie pokorna, cicha, ze słowami pociechy na ustach, z pomocą i radą, pójdzie czysta, rzewna, spokojna.

Czy to jest woda zapomnienia?

Anastazya wyrzekła się na zawsze marzeń o szczęściu osobistem, ale może innego doczeka się szczęścia. Jej słowa padną, jak iskry w serca ludzkie i zatlą ogień miłości. Ale to jeszcze nie wszystko. Przyjdzie czas, kiedy do tych samych serc prostaczych, jak na grunt przygotowany i materyał palny inne dolecą iskry, takie, od jakich pożar wybucha, a ziemia i niebo łuną purpurową gore.

Czyny, powstające z prawdziwej miłości ludzi zawsze są płodne w następstwa.

A taka właśnie miłość jest jedną z cech, „Anastazyi.“

Drugi tom Orzeszkowej: „Przędze“ — to drugi hymn tej samej niewysłowionej dobroci, tego samego ukochania natury i ludzi, tegoż współczucia z nędzą, niedolą i cierpieniem wszelkiem. Otwieram książkę i czytam pierwszą nowelę. Znów obraz poświęcenia, tym razem z wstrząsającą odmalowany prawdą, w zakończeniu tak groźny, że zimny dreszcz przerażenia wywołuje w duszy. Ta krótka nowela „Sam nasam“ — to długa tragedya nie jednej Kazi, ale tysiąca jej podobnych istot, tragedya nabrzmiała skupionym w sobie bólem i tłumionemi całą siłą łzami. To nie jest zrobiony na zimno ból na pokaz, to jest bolesna i zarazem piękna prawda, żyjąca w głębi serc niezmiernie dobrych i miłosiernych. A na to, aby taką prawdę powchwycić i we własnej duszy wyraz dla niej odnaleźć, niedosyć być wielkim artystą: trzeba także być bardzo dobrym i bardzo wrażliwym na cierpienia ludzkie człowiekiem.

Bohaterem drugiej z kolei noweli jest kilkunastoletni chłopak, stojący przed sądem. Popełnił zbrodnię, bo urodził się w upodleniu i nędzy, bo matka nie mogła wychować go na człowieka, a ojciec... Bohater urodzony jest „z niewiadomego ojca.“ Zebrali się przysięgli sami zacni obywatele, cieszący się powszechnem poważaniem, stanowiący ozdobę i dumę swojego miasta, zebrali się, patrzą na zbrodniarza i słuchają pilnie.

— Z niewiadomego ojca — powtarza głośno przewodniczący, bo oskarżony na zadane mu pytanie odpowiada tak cicho, że szeptu jego nikt usłyszeć nie mógł.

Do duszy sędziów zakrada się trwoga, Żaden z nich nie jest bez grzechu. Żaden. A nuż ten młody zbrodniarz jest moim synem? — zapytują się w duchu i zbudzone sumienie ogarnia ich i pali, jak płomień. A nuż... Potem powstaje drugie pytanie: kto właściwie jest większym zbrodniarzem? Straszne zapytanie, lecz jakkolwiek wypadłaby odpowiedź, sumienie innemi chadza drogami, sprawiedliwość inną. W imię tej sprawiedliwości zbrodniarz musi swoją odpokutować winę. Swoją? czy tylko swoję? Och, mniejsza o to, zbrodnia nie może pozostać bez kary. Nie może! Więc skazali go... Skazali! Cha, cha, na własną zbrodnię wydali wyrok potępienia, na własną... tylko karę poniesie kto inny... O piekła! jakże ohydną jest sprawiedliwość dzisiejsza!

Nie mówi nam tego Orzeszkowa. Nie! słowa jej nie grzmią bezsilną wściekłością i nie padają, jak policzki. W opowiadaniu całem unosi się natomiast smutek, płynący z serca, głęboki i rozlewny, lecz zrównoważony i umiejętnie trzymany na wodzy. W tym smutku niema miejsca na wściekłość złorzeczenia, bo Orzeszkowa uczuć takich nie zna. A jeżeli ból, o którym opowiada, zbyt nabrzmi, to najczęściej tylko łzy wytrysną i poleją się wielkie, rzęsiste, a błogie, bo ulgę przenoszące. Te łzy widzimy w noweli p. n.: „Dwie,“ w której oko w oko dwie moce stanęły naprzeciw siebie. Z jednej strony dobroć, prostota i miłosierdzie, z drugiej — szych, fałsz i obłuda. Zetknęły się ze sobą i fałsz zapłakał. To drgnęło serce człowiecze, które dobroć autorki dojrzała pod grubą powłoką blichtru i samolubstwa.

„Przędze“ Orzeszkowej, — to, jak większość jej dzieł, złote przędze dobroci. Ciągną się one od pierwszej stronicy do ostatniej. I to jest dla mnie rzeczą znamienną. Dobroć twórczyni przecudnych „Iskier“ stale towarzyszy artyzmowi, często go nawet wyprzedza i staje mu na drodze. Niekiedy mam wrażenie, jak gdyby artysta zmagał się z człowiekiem i po krótkich zapasach ustępował zwyciężony.

To też więcej jeszcze człowieka, niż artystę podziwiam w dziełach Orzeszkowej.

Artur Śliwiński.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych starszy zgromadzenia rzemieślników petersburskich zwołał w d. 25 z. m. majstrów cechowych i oświadczył im co następuje: „Na zasadzie §§ 330 i 431 ustawy przemysłowej, starszy zgromadzenia rzemieślników w Petersburgu ogłasza, iż dni roboczych jest sześć w tygodniu, a w dni niedzielne i świąteczne rzemieślnicy pracować nie są obowiązani. Majstrowie Żydzi mogą w te dni pracować, ale nie wolno im używać do tego rzemieślników i uczniów chrześcian, jak i odwrotnie majstrom chrześciańskim nie wolno zmuszać do pracy rzemieślników niechrześciańskich w dni, przez tych ostatnich obserwowane jako świąteczne. Czas trwania pracy: od 6-ej zrana do 6-ej wieczorem, odliczając pół godziny na śniadanie i półtory godziny na obiad. O ile praca zaczyna się później, to może później się kończyć, aby tylko nie trwała dłużej, jak 10 godzin. Starsi zgromadzenia powinni czuwać nad przestrzeganiem tego przepisu i pociągać winnych do odpowiedzialności.“ (*Kur; Warsz.*)

— Biskup płocki, Szembek, nadesłał z Rzymu orędzie do duchowieństwa swojej dyecezyi, w którem — jak piszą *Echa płockie i łomżyńskie* — zaleca między innemi: 1) aby zarządzający parafiami, którzy utrzymują wikaryuszów, posiadali stałe dla nich pomieszczenie, zaopatrzone w niezbędne sprzęty domowe. 2) aby obiady odpustowe (*coenae indulgentiariae*), jakie proboszczowie urządzają dla zaproszonego duchowieństwa, były skromne i proste, a kapłani przepędzali dni odpustowe nie w pokoju, lecz w kościele i aby nie zabawiali się na plebanii w karty.

— *Prawit. Wiest.* ogłosił Najwyżej zatwierdzoną uchwałę rady państwa o przekształceniu miejscowych urzędów włościańskich, sądownictwa, gubernialnych i powiatowych urzędów do spraw włościańskich, oraz instytucyj sądów pokoju w gub. Wileńskiej, Grodzieńskiej i Kowieńskiej.

— W Mińsku rozlepiono ogłoszenie gubernatora miejscowego, że postanowienia jego, obowiązujące co do ograniczenia godzin handlu w dni powszednie i wprowadzenia w zakładach rzemieślniczych dziesięciogodzinnego dnia pracy — zostają zniesione z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych. (*W. Dr.*).

— *Jużnyj Kraj* donosi, że naczelnik miasta Kerczu ogłosił następujące rozporządzenie: „Wobec wybuchu w mieście zaburzeń ulicznych, podaję do ogólnej wiadomości, że celem stłumienia ich sprowadzono wojsko i że w razie dalszych zamieszek i stawiania wojskom oporu trzeba się będzie uciec do pomocy broni.“

— Gazety kijowskie ogłosiły rozporządzenie generał-gubernatora kijowskiego, skazujące za udział w zaburzeniach w Kijowie: 53 osoby na 3 miesiące aresztu, 35 na 2 mies., 11 na 1 i pół mies., 35 na 1 mies. 32 na 3 tygodnie.

— Pisma krakowskie donoszą, że przy oddawaniu rządowi gimnazyum polskiego w Cieszynie urzędnicy niemieccy zachowali się z niespodziewaną uprzejmością; czynili oni nawet różne ułatwienia, do których nie byli obowiązani. W całym Śląsku, z wyjątkiem kilku wsi niemieckich około Bielska i czeskich koło Ostrawy, obchodzono dzień upaństwowienia gimnazyum bardzo uroczyście. Zapalono beczki smolne, tworzono ogromne ogniska, strzelano z moździerzy itp.

— Dzienniki strasburskie donoszą o prześladowaniu napisów francuskich w miastach Alzacyi i Lotaryngii. Kampanię prowadzi policya.

— *Bromb. Tagebl.* pisze, że germanizacya Litwinów w Prusach wschodnich coraz bardziej się wzmaga. Jeszcze przed kilku dziesiątkami lat w każdym powiecie przyjmowano w języku litewskim dzieci do konfirmacyi protestanckiej, teraz w powiatach Gilhalńskim, Stołupiańskim, Gołąbskim, Gąbińskim i Wystruckim odbywa się ona tylko po niemiecku, w innych zaś powiatach coraz mniej dzieci przyjmują do konfirmacyi litewskiej. Nawet w niektórych parafiach, gdzie dzieci uczą się w szkole po niemiecku i po litewsku, rodzice ich pragną, aby je konfirmowano w języku niemieckim. Podobnie rzecz się ma z nabożeń-

stwami litewskiemi, których jest coraz mniej, ponieważ coraz mniej Litwinów na nie uczęszcza.

— *Journal* paryski daje nowe i dość nieoczekiwane oświetlenie spadku milionowego po Crawfordzie. Renier, którego nazwisko wyjawiła Teresa Humbert w sądzie, ów domniemany jej ojciec, nie ma nic wspólnego z Regnierem zdrajcą. Nazywał on się poprostu Renier i był tym złodziejem, który w r. 1871 podczas pożaru w ministeryum skarbu skradł ogromną sumę w rentach. Jaki stosunek łączył go z Humbertową, nie wiadomo — przypuszczalnie jednak pieniądze od niego pochodzą.

Szkoły i wychowanie. W politechnice warszawskiej wakują dwa stypendya, W. Choroszewskiego i S. Kondratowicza, przeznaczone wyłącznie dla Polaków. Podania przyjmuje Biuro rady zjazdu górników w Dąbrowie.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło, że pozwolenie przyjmowania uczniów na rok trzeci do jednej i tej samej klasy rozciągnięto również i na byłych uczniów zakładów naukowych, średnich, uwolnionych za niezadawalające postępy, oraz na tych, którzy sami z klasy wystąpili.

— Do uniwersytetów niemieckich w ubiegłem półroczu szkolnem uczęszczało 37,813 studentów, w tej liczbie 2,731 cudzoziemców, a wśród tych ostatnich 860 pochodziło z Rosyi.

— Zarząd kolei Ekaterynieńskiej zawiadomił rektorat politechniki warszawskiej, że student, delegowany na tę kolej dla praktycznych zajęć do służby trakcyi, po miesiącu porzucił zajęcie, tłomacząc się potrzebą przygotowania do egzaminu jesiennego. Zdaniem zarządu kolei, praktykant, przewidując tę potrzebę, mógł nie przyjąć ofiarowanego zajęcia i dać tę możność rzeczywiście potrzebującemu praktyki. Zarząd politechniki na posiedzeniu swojem uchwalił o powyższem zawiadomić studentów, oraz zwrócić im uwagę, że takie postępowanie może wywołać odmowę przyjmowania ich na praktykę podczas lata.

— Ministeryum skarbu zezwoliło na zaprowadzenie zmiany na kursach agronomicznych przy szkole handlowej E. Rontalera, w ten sposób, że na pierwszy kurs agronomiczny będą przyjmowani bez egzaminu uczniowie, którzy ukończyli 3 klasy szkół handlowych lub realnych rządowych. Uczniowie, którzy ukończyli 4 klasy gimnazyum, będą musieli składać egzamin dodatkowy z języków nowożytnych i fizyki, nowi kandydaci — egzamin całkowity podług programu czwartej klasy szkoły handlowej lub realnej. Zatwierdzone zostały również kursy wieczorne dla wykładów wiedzy ogólnie kształcącej, które będą otwarte 1 października r. b. Wykłady będą się odbywały codziennie od g. 6—9-ej wieczorem w gmachu szkoły handlowej (Kaliksta nr. 6) dla osób wszelkich wyznań, bez różnicy wieku i płci. Kursy będą rozdzielone na pięć wydziałów: 1) nauki przyrodnicze, 2) nauki komercyjne, 3) matematyka, 4) nauki społeczne, 5) języki uowożytne (rosyjski, polski, niemiecki, francuski, angielski i włoski). Kursy będą dwuletnie, na pierwszym mają być wykładane przedmioty podług programu szkół średnich, na drugim zaś — podług programu szkół wyższych.

Sprawy ekonomiczne. W ministeryum rolnictwa i dóbr państwa poruszono sprawę obniżenia kosztu aktów rejentalnych przy zmianie własności drobnych posiadłości ziemskich i uproszczenia formalności przy zawieraniu umów zmiany działek gruntowych.

— Na specyalnem zebraniu w Warszawie, pod przewodnictwem gubernatora warszawskiego, uchwalono opodatkowanie koni z ustanowieniem następujących norm: za konie zwyczajne, rasy miejscowej, do 60 rb.; za konie rasy ulepszonej do 120 rb.; konie czystej krwi stadowe do 300 rb. Opłata ma być pobierana w stosunku $^1/_2$% od oceny normalnej.

— W Radomiu zawiązało się drugie Towarzystwo wzajemnego kredytu.

— Wystawa rolnicza w Miechowie otworzona będzie d. 27 b. m.

Literatura i prasa. Na konkurs ogłoszony przez Towarzystwo „Miłośników sceny,“ nadesłano 70 utworów.

— Zarząd Kółek rolniczych we Lwowie, chcąc uzyskać dokładny przegląd sztuk dramatycznych dla włościańskich teatrów amatorskich, uprasza wszystkich autorów i wydawców takich sztuk o łaskawe nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych pod adresem: Zarząd głów. Towarzystwa kółek rolniczych we Lwowie, ulica Kopernika nr. 19.

— *Kur. Warsz.* zaczyna uprawiać na swych łamach francuczczyznę, która nawet dla obeznanego z językiem przedstawia się zagadkowo: *cù gir le mal, en experitant la peur* wyglądają, jak prawdziwe kwiatki dobrej korekty.

— Dziennik paryski *La Fronde*, wydawany, redagowany i drukowany przez kobiety, przestał wychodzić.

Ze sztuki. Cesarskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Petersburgu ogłosiło doroczny konkurs ogólny na dzieła artystyczne, wyznaczając za najlepsze prace nagrody następujące: 1) za drzeworyt (scena rodzajowa) trzy nagrody: rb. 150, 100 i 75; 2) za akwafortę (krajobraz lub obraz rodzajowy) trzy nagrody: rb. 200, 150 i 100; 3) za obraz historyczny malowany rb. 2,000; 4) za obraz rodzajowy rb. 900; 5) za malowanie na porcelanie lub fajansie trzy nagrody; rb. 60, 40 i 20; 6) za rzeźbę na drzewie rb. 60 i 40; 7) za rzeźbę na glinie rb. 250, 150 i 100. Termin konkursu upływa d. 1 lutego 1904 r. Bliższych szczegółów udziela kancelarya Towarzystwa sztuk pięknych.

— Wdowa po Henryku Siemiradzkim ofiarowała Towarzystwu zachęty sztuk pięknych na własność obraz „Dyrce chrześciańska“ — jako „jedyne skończone, znaczniejsze dzieło, znajdujące się w puściznie artystycznej nieboszczyka.“

Koleje i komunikacye. Na kolejach Nadwiślańskich ustanowiono konduktorów-felczerów do udzielania pierwszej pomocy podróżnym.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło urządzić na wszystkich kolejach lazarety przenośne do przewożenia chorych na dalsze odległości. Na ten cel mają być przeznaczone odpowiednio urządzone wagony towarowe.

— W końcu r. 1901 długość linij kolejowych na całym globie wynosiła 816,755 kilometrów, a kapitał, włożony w ich budowę — 162 i pół miliarda marek.

Katastrofy. Na kolei podziemnej w Paryżu zapalił się znowu jeden z wagonów — dwaj pasażerowie zostali ciężko ranieni.

— Na parowcu Lloyda północno-niemieckiego, „Neckar,“ wiozącym 2,200 podróżnych, pękła rura parowa — 9 maszynistów zabitych, okręt i podróżnych uratowano.

— Na kolei Wschodnio-Chińskiej, pomiędzy stacyami Siu-ju-czen a Wanzjalni, skutkiem podmycia filaru spadł z mostu pociąg — zginęło kilka osób, kilkanaście ranionych.

— Na kolei Mikołajewskiej, pomiędzy Osieczenką a Lubinką, zderzył się pociąg osobowy z towarowym; zabity maszynista, 7 podróżnych poranionych.

— We wsi Ciążeń, gub. Kaliskiej, spaliło się 59 osad włościańskich.

Zmarli. Nikodem Krakowski, pracownik na polu piśmiennictwa ekonomiczno-handlowego, pedagog i publicysta, w Warszawie.

— Michał Sobolewski, profesor Instytutu muzycznego w Warszawie.

— Franciszek Winkowski, przedstawiciel stronnictwa ludowego w wiedeńskiej Radzie państwa, w Podgórzu, pod Krakowem.

— Bernard Lazare, literat i dziennikarz, w Paryżu.

— August Kerckhoff, twórca volapücku.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Августа 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.